POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 20-go listopada 1943r.** **Rok V. Nr. 46**

ZIMNEJ KRWI . . .

Pierwszym krokiem do zwycięstwa jest świadomość własnej siły.

Kościuszko

Przez świat idą wielkie kataklizmy i przeobrażenia. Dużo jeszcze krwi i czasu upłynie do chwili, gdy umęczona ludzkość będzie mogła odpocząć i przekuć bagnety na lemiesze, zapomnieć o warkocie samolotów i huku dział. Tylko ludzie lekkomyślni lub nie orientujący się w wydarzeniach sądzić mogą, że druga wojna światowa skończy się rychło. Nie zakończy jej przecież samo zwycięstwo nad Hitlerem.

Nie wolno nam wątpić, że ze zmagań tych Polska wyjdzie zwycięsko. Nie wolno nam wątpić mimo takiej lub innej koniunktury politycznej czy strategicznej. Położenie geograficzne Polski sprawia, że leży ona na szlaku wojen i jest rzeczywiście — Chrystusem narodów. Ale właśnie dlatego zmartwychwstanie.

Ludzie małego ducha zwykli swoiście tłumaczyć niektóre wydarzenia dziejowe. W roku 1939 cechował ich przesadny, niczym nieusprawiedliwiony optymizm. Twierdzili, że w dwa tygodnie zajmiemy Prusy Wschodnie, że do Gdańska mamy siedem dróg dostępu a Niemcy żadnej /w istocie mieli najważniejszą — morską/, że w Berlinie będziemy za trzy miesiące, że linię Maginota przełamano w czternastu miejscach . . .

Dziś ci sami "optymiści" zmienili się na skrajnych pesymistów, wątpią w przyszłość Polski, powtarzają bezkrytycznie przeróżne brednie rozsiewane przez ludzi złej woli, przez "piątą kolumnę," przez radio berlińskie. Czy myślą, że w ten sposób "zbawią ojczyznę"? Gdy w 1940 roku czarne skrzydła "Luftwaffe" zawisły nad Anglią, gdy ofiary i straty trzeba było liczyć na dziesiątki tysięcy ludzi i setki tysięcy funtów, gdy widmo inwazji stanęło u wrót nieprzygotowanego i niedozbrojonego Królestwa, gdy w całej Anglii, jak Churchill powiedział, było zaledwie kilkadziesiąt starych czołgów — nikt w narodzie brytyjskim nie upadł na duchu, nikt — zdrowy na umyśle — nie zwątpił.

I w Polsce — od roku 1939 do chwili obecnej nie zwątpił żaden prawy i rozsądny obywatel. W "Oflagach" i "Stalagach," w Oświęcimiu czy Oranienburgu, w Dachau czy w "łagrach" Dalekiej Północy — ileż to razy mówiono Polakom, że "Polska skończyła się na zawsze." Że już jej nigdy nie będzie. Że wszelkie sny o odzyskaniu wolności są mrzonką, a rzeczywistością tylko katorżna praca . . .

Nie uwierzyli. Nie zwątpili. I wytrwali pomimo strat bolesnych.

Czy tyle krwi, potu i męczeństwa miało by przejść daremnie? Czy powojenny świat miałby powtórzyć hańbę "Kongresu Wiedeńskiego"? Czy Polskie Siły Zbrojne na lądzie, morzu i w powietrzu, w kraju i na obczyźnie — nie miałyby żadnego ciężaru gatunkowego?

Przypomina się mimowoli obrazek z roku 1916: na dworcu kolejowym w Lozannie spotyka się dwóch Polaków — kolegów szkolnych. Zygmunt — właśnie uzyskał zezwolenie na wyjazd z Francji i przez Szwajcarię dąży do Legionów. Julian uciekł z internowania w Niemczech i śpieszy do Francji, by tam się zaciągnąć — bo słyszał, że w Paryżu tworzyć się ma wojsko polskie.

Tragedia! Walka bratobójcza! Któż z nich ma rację? Przecież jeśli Francja zwycięży, to pospołu z carską Rosją — tedy Polski wolnej nie będzie . . . A jeśli zwycięży tolerancyjna Austria, to przecież Niemcy również nie pozwolą na wskrzeszenie Polski. Sytuacja beznadziejna.

A jednak jeden i drugi miał rację. Na gruzach państw zaborczych Polska powstała — nic nie potrafiło zahamować żywiołowego pędu do wolności, miłującego tę wolność narodu. Bóg pobłogosławił bagnetom polskim we wszystkich obozach. I bagnety te — spośród powojennego chaosu wolną Polskę wyrąbały.

Dziś — o ileż sytuacja jest łatwiejsza. Nie mamy za sobą przeszło wiekowej niewoli. Mamy Rząd, Wojsko, skarb, sprzymierzeńców. Któż śmie wątpić? A jeśli wątpi, to niech zapyta tych z "łagrów" i "lagerów." Oni nigdy wierzyć nie przestali.

Istnieją fakty historyczne, którym żadne intrygi czy kłamstwa zaprzeczyć nie zdołają. Pierwsi stanęliśmy do boju z germańskim najazdem i do dziś dnia walczymy niezłomnie — w Kraju i na obczyźnie — poniósłszy procentowo najwięcej ofiar ze wszystkich państw i narodów. Nie wydaliśmy na świat Quislinga, choć kilku wybitnych Polaków rozstrzelano lub zamęczono za odmowę propozycjom niemieckim. Nie ulegliśmy żadnym wrogim pokusom, choć może najwięcej mieliśmy do tego prawa.

Więcej. Przez siedem lat odmawialiśmy stale na propozycje niemieckie wspólnego natarcia na Związek Sowiecki. Cóż by się stało, gdyby dwa miliony uzbrojonego przez Niemców i wyszkolonego na sposób niemiecki żołnierza polskiego wzięło udział w kampanii moskiewskiej Hitlera? Czy "pomoc" ta nie zaważyłaby na szali?

Ale Polska — pełna honoru i godności — respektowała zawarte umowy i pakty o nieagresji. Nie zawierała paktów przyjaźni z odwiecznym wrogiem. I jeśli z tego powodu ucierpiała najwięcej ze wszystkich narodów, to właśnie ocaliła Honor, wzbudziła szacunek i zaufanie opinii świata. Jakkolwiek krytykować można polską politykę przedwojenną, to jednak nikt nie może powiedzieć, że była nieuczciwa czy wykrętna.

A teraz — konkluzja. Najważniejszą rzeczą jest zwyciężyć Niemców. Do tego trzeba planowego wysiłku i silnych nerwów. Słabe nerwy, podatne na plotki i dywersję nieprzyjaciela, nie pomogą nam w żadnym wypadku. Są dowodem małej wartości moralnej i wątpliwego przywiązania do Ojczyzny. Już był kiedyś taki, co zawołał "nie pozwalam" i . . . uciekł na Pragę.

Silni jednością i rozumni, opanować się musimy. Musimy zaprzestać biadolenia czy "zbawiania ojczyzny" w barach i kawiarniach. Musimy zdobyć się na odpowiednią dozę zimnej krwi.

Polonia fara da se. Polska mómi sama za siebie. Nie pomagajmy jej w nieudolny sposób. Czyńmy nasz obowiązek żołnierski i obywatelski. To na pewno więcej pomoże sprawie polskiej od "politykowania" i "załamywania rąk." Są przecież ludzie, którzy za los Polski biorą na siebie odpowiedzialność przed Bogiem i światem. Nie przeszkadzajmy im . . .

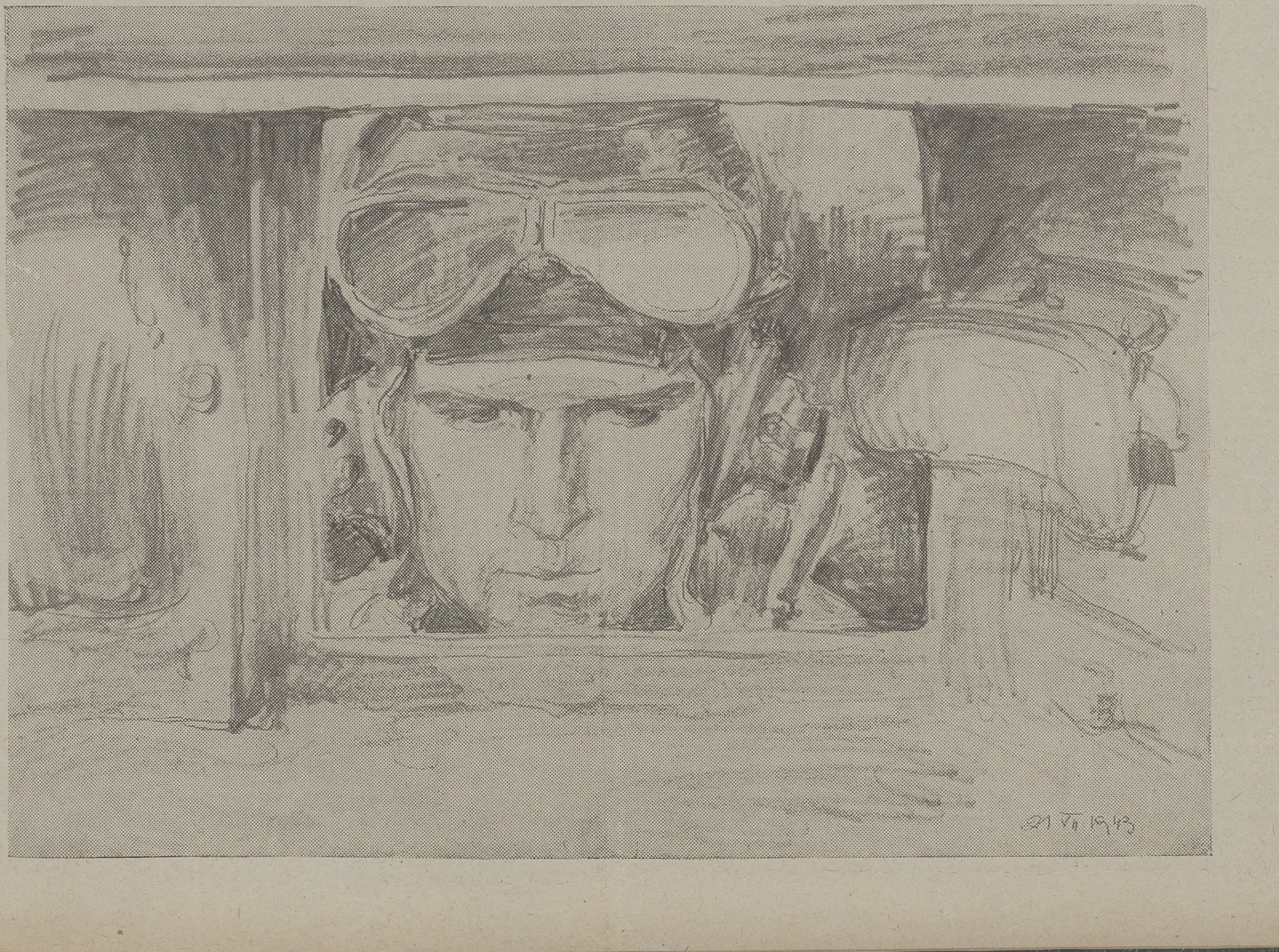
Gladstone powiedział kiedyś, że "to, co jest fałszywe pod względem moralnym, nie może być słuszne pod względem politycznym." A na wspomnianym Kongresie Wiedeńskim padły prorocze słowa: "*La Pologne — malheur à qui osera la violer*" /Biada temu, kto pogwałci prawa Polski/.

Jedno i drugie oświadczenie jest dziś bardziej, niż kiedykolwiek aktualne. 36-o milionowy naród jest świadomy swych praw i wie, do czego dąży. Dążeń tych — słusznych i sprawiedliwych — nic zahamować nie zdoła.

Sprawa nasza jest słuszna, uczciwa, i sprawiedliwa. Nie jesteśmy sami. Możemy mieć świadomość własnej siły — moralnej i fizycznej. Zaś do wygrania sprawy potrzeba nam głównie zimnej krwi, zimnej krwi i jeszcze raz zimnej krwi.

JIM POKER

ANDRZEJ WART: Przez okienko kierowcy



Szkic sytuacyjny

ŻYTOMIERZ I DALEJ

Ofensywa prowadzona przez generała Watutina osiągnęła poważne sukcesy: wojska pod jego dowództwem zdobyły Żytomierz i idą dalej, rozwidlając się jednocześnie zarówno ku północy, jak południowi. Wydaje się, że przez przecięcie linii kolejowej biegnącej z Kijowa wojska niemieckie poniosły poważną klęskę. Jeżeli prawdą jest, że wojskom sowieckim udało się rozszczepienie dwóch armii niemieckich, to wówczas mielibyśmy do czynienia już nie z odwrotem, ale porażką. Było rzeczą jasną, że armii czerwonej zależy na rozłupaniu frontu niemieckiego i że uderzenie na Homel ma na celu przyparcie pewnych sił niemieckich do błot Prypeci.

Sytuacja przedstawia się dalej mocno niejasno, albowiem nie znamy szczegółów walk. Kierunki uderzenia zmieniają się, strategia sowiecka wydaje się bardzo giętka i elastyczna, ma ona rozmaite warianty, przy czym używa ona systemu "magnesu" /przyciąga poważne siły niemieckie przez koncentrowanie ataku w jednym miejscu, a potem uderza w inny punkt/, jednym słowem wydaje się, że strona niemiecka jest mocno zdezorientowana.

Na Krymie załogi niemieckie nie ustępują, ale niewiadomo jak długo wytrzymają one napór. Północ jest dalej zdumiewająco sztywna, ale łamanie się południa zmusi do odwrotu zapewne i front pod Leningradem. Czy będzie możliwe wycofanie się na linię Rygi, nie wiemy. Teza, że linia Ryga-Odessa jest realna i że na tej linii wojska Rzeszy stawią opór, wydaje się w tej chwili raczej wątpliwa. Nie widać linii, na której miałyby zatrzymać się wojska niemieckie. Raczej cofają się one w walce, tracąc teren i ludzi, ażeby przyjąć bitwę gdzieś dalej, może koło Zbrucza, może koło Lwowa, może koło Przemyśla. *Ziemie polskie coraz bardziej wydają się terenem, na którym strategia niemiecka zamierza rozegrać swoją ostatnią stawkę.*

Wydaje się, że istotnie będzie to ostatnia stawka. Jedyny manewr, jaki się może jeszcze powieść tej strategii to gra w stylu *Bitwy Warszawskiej* albo *Jezior Mazurskich*. Przypuszczać wolno, że wojska niemieckie będą się biły na wschodzie do ostatka.

TRUDNOŚCI ATAKU NA "FORTECĘ EUROPY"

Wolne tempo marszu we Włoszech niepokoi znowu prasę brytyjską. Sypią się zapytania, dlaczego tempo to jest tak powolne. Z drugiej strony stwierdzenie, że wojska niemieckie uzyskały "linię zimową" dowodziło by, że ta linia zimowa istotnie jest wcale silna i że jej sforsowanie może zabrać sporo czasu.

Wszystko to — w połączeniu z zastojem lotniczym na froncie włoskim — dowodziło by, że jednak zadanie najazdu Kontynentu jest dalej bardzo trudne, że dalej brak jest takiej przewagi, ażeby szybko sforsować wynik. Z tego też powodu mowa Churchilla w Guildhall, gdzie wskazał on na olbrzymie ofiary, jakie ponieść trzeba będzie przy tworzeniu owego frontu wydaje się w pełni uzasadniona.

Istotnie szturm na fortecę europejską będzie ciężki i krwawy i nie bardzo widać, jak można będzie uniknąć tych strat. Wojska niemieckie w starciach z wojskami anglosaskimi na kontynencie Europy wykazują dalej siłę i hart. Do Włoch rzucono nowe posiłki. Churchill wspominał o 400-tu dywizjach wroga. Jest to cyfra olbrzymia. Ażeby złamać tego rodzaju maszynę, trzeba będzie nielada jeszcze wysiłków.

OSTRZEŻENIE CHURCHILLA

Wspomniana przed chwilą mowa Churchilla stanowiła ostrzeżenie bardzo na czasie. Od pewnego bowiem czasu zauważyć się daje dążność uważania tej wojny za rzecz przesądzoną i skończoną. Churchill podkreślił w swojej mowie, że wojna przeciwko tak potężnemu wrogowi jest i będzie dalej sprawą poważną, że straty jakie nas czekają będą duże i że wróg może się pokusić o jakieś nowe formy ataku na wyspy brytyjskie.

Mowa Churchilla była przykładem rozsądku i skromności. "*Jeżeli nie popełnimy poważniejszych pomyłek militarnych . . .*" — zdanie to dwukrotnie pojawiło się w ustach premiera W. Brytanii. Mowa jego, jak prawie wszystkie jego przemówienia nacechowana była tą właśnie ostrożnością i umiarem, którego tak bardzo potrzeba by było w innych oświadczeniach — innych krajów. Ten właśnie umiar, to przygotowywanie na ciężkie koleje, na najgorsze nawet, jest czymś, co jest bardzo wskazane w apelach do narodów. Wydaje się, że metoda przechwałek /nadużywana przez Niemców/, metoda zapowiadania, że wszystko jest doskonale i świetnie, mści się, że okazuje się ona na dłuższy dystans złą polityką. Załamania jakie przychodzą po niespełnionych zapowiedziach są jednak groźne.

Mowa Churchilla brzmiała szczególnie interesująco w uszach tych obywateli państw i narodów, których sytuacja jest o tyle gorsza od Imperium Brytyjskiego, narodów, które łakną nie tyle pociechy i fałszywego optymizmu — graniczącego z brakiem odpowiedzialności i wręcz lekkomyślnością — ale słów prawdy, powagi, rozumu.

CZAS TRWANIA WOJNY

Warto przypomnieć, że Churchill pozostał wierny swoim przepowiedniom co do trwania wojny. Jeszcze w roku 1940-tym wspominał o roku 1944-tym, jako terminie zakończenia wojny. Sekundowali mu: premier kanadyjski Mackenzie King oraz premier Unii Płd. Afrykańskiej, Smuts. Zdania te wydawały się ostrożniejszym obserwatorom w pełni uzasadnione, albowiem znali oni przypuszczalny stosunek sił i możliwości Aliantów. Kiedy jednak przeprowadzali na podstawie własnych obliczeń takie właśnie wnioski — wnioski czysto laickie, albowiem niepodparte żadną wiedzą wojskową — atakowano ich oskarżając o "pesymizm" i "defetyzm." Dzisiaj ci krytycy z wczoraj wolą milczeć.

NIEMCY OPUSZCZAJĄ FINLANDIĘ?

Komentatorzy amerykańscy pracujący w Sztokholmie donoszą, że wojska niemieckie opuszczają powoli ziemię fińską. Ewakuacja ta dokonuje się głównie statkami. Za parę tygodni, kiedy Zatoka Botnicka będzie skuta lodem, pozostanie wojskom niemieckim tylko jednotorowa linia kolejowa.

Jeżeli wojska niemieckie istotnie opuszczą Finlandię, ułatwi to temu krajowi starania pokojowe. Obecność wojsk niemieckich uniemożliwiała wszelkie poważne starania w tym kierunku. Finlandia czuje od dłuższego już czasu, że jej sytuacja pogarsza się. Chciałaby uzyskać jakieś wyjście, ale szuka gwarancyj granic, szuka — przede wszystkim w USA — jakiegoś oparcia. Wątpić jednak należy, ażeby Finlandia obroniła swoje granice sprzed okresu wojny z Rosją. Raczej należy przyjąć, że granice narzucone przez Rosję będą podstawą ewentualnych rokowań, przy czym — jak słychać — *Rosja poszłaby na pewne ustępstwa.*

Wyjście Finlandii na szlak neutralności nie będzie łatwym zadaniem. Kraj ten jest — jak wszystkie kraje, które sprzymierzyły się z Rzeszą, jakkolwiek nie należy zapominać, że Finlandia nie ma żadnego układu z Niemcami — jest w sytuacji przymusowej i tragicznej zarazem.

OSTRZEŻENIE DLA WĘGRÓW

Radio brytyjskie nadało dnia 13.XI. ostrzeżenie dla rządu węgierskiego, ażeby jak najszybciej wycofał wszelkie oddziały węgierskie, lotników, oraz kadry administracji z terenów sowieckich. Tylko tego rodzaju krok, zapowiadało ostrzeżenie, może spowodować łagodniejsze potraktowanie sprawy węgierskiej w "ostatecznym porachunku."

Sytuacja Węgier jest może jeszcze gorsza, niż Finlandii, albowiem kraj ten jest osaczony przez Rzeszę. Jeżeli zdecyduje się na jakiś sabotaż w stosunku do Rzeszy, jeżeli spróbuje tylko zawadzać na drodze niemieckiej, Rzesza będzie miała zawsze odpowiednią ilość oddziałów, ażeby znieść Węgry — chociaż by przez zemstę. Polityka węgierska jest w ślepym zaułku.

AKCJE NA BAŁKANACH

Działania partyzanckie na Bałkanach przybierają na sile, jakkolwiek nie możemy sobie zdać dobrze i dokładnie sprawy, w jakim kierunku idą owe akcje. Niedawno generał Maitland Wilson nadał ostrzeżenie dla tych "czetników," którzy współdziałają z Niemcami. Są to przypuszczalnie stronnicy serbskiego quislinga, generała Nedicza, który ma pod swoimi rozkazami jakieś siły. Nie odnosi się to jednak do "czetników" generała Michajłowicza; jego siły składają się głównie z oddziałów regularnych armii, które umknęły w góry.

Oskarżanie generała Michajłowicza trwa dalej, podczas gdy dowódca ten dał do zrozumienia, że szanuje swoje siły aż do chwili, gdy sojusznicy wylądują w Dalmacji. Trudno mieć za złe generałowi Michajłowiczowi tego rodzaju decyzję.

Niepokoje bałkańskie, walki bratobójcze w Grecji, potajemne porachunki w Macedonii — wszystko to dowodzi, że w tej części Europy oczekiwać należy poważnych zaburzeń. Ale czy tylko w tej części? Doniesienia z innych stron Europy, ze Wschodu, mówią o wzroście "dzikich Pól," o coraz to dalszych zagonach partyzantów, o walkach, niszczeniu dobytku ludzkiego, paleniu wsi. Nie zdajemy sobie może sprawy co za straszliwe zniszczenie będzie udziałem całej Europy wschodniej i południowej.

Wojna tego typu co obecnie, wojna podjazdowa na tyłach jest zjawiskiem nowym — w poprzedniej wojnie nie grała ona ani w części tej roli. Dzisiaj na skutek użycia spadochroniarzy, możliwości zrzucania broni, na skutek fermentów społecznych, pojawia się wojna podjazdowa, walka na tyłach, *guerilla*, jako nowy sposób, jako dodatkowa klęska, *gorsza aniżeli sam front i bombardowanie, albowiem niszczący bardziej dokładnie, od korzenia, od podstaw.*

Londyn, dnia 15.XI.1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

7 *listopada: Ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Fastów, na zachód od Kijowa.*

8 *listopada: Pierwszy dzienny nalot bombowców amerykańskich z baz Morza Śródziemnego — na Turyn.*

9 *listopada: Ogłoszono, że Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski złożył w Algierze wizytę generałom de Gaulle i Giraud. Z kolei gen. Sosnkowski odbył dłuższą naradę z gen. Eisenhowerem, naczelnym dowódcą sił zbrojnych Sprzymierzonych na froncie Morza Śródziemnego.*

—Generał Giraud zrezygnował ze współprzewodnictwa Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, pozostając jedynie Naczelnym Wodzem francuskich sił zbrojnych. Przewodniczącym Komitetu Francuskiego pozostał gen. de Gaulle.

—Przedstawiciele 44 Zjednoczonych i Stowarzyszonych Narodów podpisali układ stwarzający organizację pomocy i odbudowy krajów zniszczonych przez wojnę /U.N.R.R.A./. Układ ten został podpisany również przez przedstawiciela Polski.

10 *listopada: Polskie dywizjony myśliwskie czterokrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły z tych zadań.*

—Naczelny Wódz, gen. broni K. Sosnkowski odbył we Włoszech rozmowy z dowodzącym na tamtym froncie Sir Haroldem Alexandrem. Z Włoch gen. Sosnkowski udał się do Trypolisu.

11 *listopada: XXV-lecie odzyskania niepodległości Polski.*

—W Bejrucie wybuchły zamieszki na tle nieporozumień między Komitetem Francuskim a rządem Republiki Libanonu, Prezydent republiki i rząd zostali aresztowani.

—Zmiany w rządzie brytyjskim. M.in. lord Woolton został ministrem odbudowy.

—Polskie samoloty bombowe przeprowadzały loty patrolowe nad Atlantykiem. Polski Myśliwski Dywizjon Rozpoznawczy wykonał szereg lotów na rozpoznanie.

—Polskie Dywizjony Myśliwskie dwukrotnie osłaniały wyprawy bombowe.

12 *listopada: W Moskwie podano do wiadomości, że Armia Czerwona zajęła Korostyszew. W Berlinie ogłoszono, że wojska niemieckie wycofały się z rejonu Witebska.*

—Wojska niemieckie wylądowały na wyspie Dodekanezu — Leros, będącej w rękach Sprzymierzonych.

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski przybył do Kairu z Trypolisu.

—W nocy z 11/12 polskie samoloty bombowe brały udział w operacjach bojowych. W ciągu dnia polskie samoloty bombowe brały udział w bombardowaniu obiektów wojskowych nieprzyjaciela.

Tego samego dnia polski dywizjon bombowy przeprowadził szereg patroli nad Atlantykiem, a polski myśliwski Dywizjon Rozpoznawczy przeprowadził kilka lotów patrolowych wzdłuż wybrzeży zajętych przez nieprzyjaciela.

—Wojska sowieckie zajęły Żytomierz.

—Podano do wiadomości, że w okręgu Białostockim i Łomżyńskim Niemcy stracili około 1500 Polaków.

Nowości lotnicze

W jednym ze swych przemówień Stalin podkreślił w sposób bardzo mocny rolę lotnictwa komunikacyjnego po wojnie. Oświadczył między innymi, że spodziewa się, iż właśnie to lotnictwo przyczyni się nie tylko do zjednoczenia powojennego świata, lecz także do utrzymania trwałego pokoju na skołatanym kontynencie europejskim.

Nieraz wyrażaliśmy opinię, że tak jest a nie inaczej. Lotnictwo może zmusić wszystkie narody świata do polityki dobrej woli we wzajemnych między nimi stosunkach. Naturalnie nie możemy pominąć milczeniem i odwrotnej strony medalu. Lotnictwo w złych rękach może stać się równie łatwo narzędziem podboju czy terroru, jak to już raz widzieliśmy na przykładzie Niemiec. Należy więc przy organizowaniu idealnego powojennego świata, opartego na etyce chrześcijańskiej /takiego bowiem domagają się w tej chwili wszystkie narody bez różnicy wyznania/ — baczyć, by nic podobnego zajść nie mogło.

Zapobiec takiemu niebezpieczeństwu można jedynie drogą uprawnienia narodów mniejszych na równi z wielkimi, drogą umożliwienia słabszym populacyjnie, czy mniejszym przestrzenią, wejścia w związki wielopaństwowe, oparte na ich własnych geopolitycznych potrzebach, a nie na strategiczno-politycznych potrzebach państw, stojących poza związkiem. Z góry należy wykluczyć dominację silniejszego nad słabszym, bowiem, nawet najbardziej przyjazna dominacja wywołuje u ludzi może niesłusznie uczucie panowania siły nad prawem. Poza tym w lotniczej komunikacji międzynarodowej, która może być błogosławieństwem świata, muszą mieć udział wszystkie bez wyjątku narody, przy kontroli międzynarodowej, w której również wezmą udział wszyscy bez wyjątku na równych prawach. Inaczej przyszły świat lotniczy, świat który wyśnili wielcy pisarze i myśliciele, a który ma zająć miejsce minionego już dziś świata morskiego, stanie się zbyt do nieboszczyka podobny.

Świat morski nie był światem idealnym. Powstał drogą siły i przemocy. Wskutek tego dobra naturalne ziemi zostały podzielone bardzo nierówno. Nierównomierny podział dóbr jest jednoznaczny z niezadowoleniem, zaś niezadowolenie to ruchy nacjonalistyczne w rodzaju nazizmu czy faszyzmu, zaś nowe ruchy nacjonalistyczne — to nowa wojna.

Swego czasu pięknie to ujął w swej broszurze politycznej wydanej w ostatnim dwudziesto-pięcioleciu osiemnastego wieku znany może z innego rodzaju literatury — Casanova. Casanova był dobrym politykiem. Przewidywał, że wobec tego, iż niemoralny i nie etyczny podział Polski spowodował zachwianie się całego prawnego systemu polityczno-międzynarodowego Europy, wobec tego nastąpić musi ogólna wojna, która przywróci dawny system. Czekaliśmy na sprawdzenie się tezy Casanovy lat sto pięćdziesiąt. Gdyby ta wojna nie przyniosła porządku w polityce światowej i nie powołała z powrotem do życia jako czynnika regulującego życie międzynarodowe etyki i moralności — nowa wojna nastąpić musi i nastąpi. Tylko znacznie krócej na nią—będziemy czekali . . .

Notujemy nowe zdarzenia na polskiej niwie lotniczej. Utworzona Rada Lotnicza ukonstytuuje się przy Prezydium Rady Ministrów. Wskazywaliśmy nieraz w naszych sprawozdaniach, po raz pierwszy jeszcze w marcu bieżącego roku, że jest to jedyne rozwiązanie tego dość złożonego zagadnienia wewnętrznego. Nie znamy dokładnie ani składu, ani kompetencji Rady. Postaramy się o tym jak najprędzej powiadomić naszych czytelników. Przypuszczamy jednak, że owa Rada Lotnicza, która jak nam wiadomo, będzie nosiła nazwę Państwowej Rady Lotniczej, narzuci sobie przy szerokich kompetencjach także wysoki szczebel zagadnień do rozpatrywania. W tej chwili nie mamy jeszcze ustabilizowanej linii naszej polityki lotniczej. Nie potrzebujemy się tego wstydzić, Brytyjczycy także jej nie mają czy też do niedawna nie mieli.

Brytyjczycy robią co mogą, by nadrobić opóźnienie. Niedawno temu odbyła się międzydominialna konferencja lotnicza. Lord Trenchard w Izbie Lordów odsłonił rąbka jej uchwał. Interweniowany przez Lorda Rothmere, którego stanowisko zajął, Lord Trenchard ujął tezy konferencji w pewne punkty z których dwa, najciekawsze, są:

a/ brytyjskie organizacje lotnicze podporządkują się każdej organizacji międzynarodowej kontroli lotniczej, jaka powstanie na kontynencie.

b/ ostateczna decyzja czy organizacja brytyjska oprze się na inicjatywie prywatnej, czy też na monopolu państwowym przy wykonywaniu planu ekspansji lotniczej zapadnie dopiero wtedy, gdy okaże się jak tę sprawę ujmą organizacje międzynarodowe.

Sądzić należy, że tego rodzaju wypowiedzi członka rządu brytyjskiego, aczkolwiek Lord Trenchard nie zasiada w ścisłym gabinecie — jest nader ważne. Śmiało porównać można jej wagę z innymi oświadczeniami czy zobowiązaniami wziętymi na siebie przez innych członków Gabinetu Brytyjskiego, dotyczącymi polityki międzynarodowej. Oznacza to, że po pierwsze: Wielka Brytania chce wziąć udział w życiu europejskiego kontynentu, powtóre — co wynika zresztą z dalszych wypowiedzi — że zamierza ów kontynent organizować, zapowiadając wielką konferencję międzynarodową w czasie najbliższym. W związku z rozmowami moskiewskimi część prasy lansowała wiadomość, że konferencja odbędzie się już w grudniu. W tej konferencji nie tylko musimy wziąć udział, lecz także do tej konferencji powinniśmy być gruntownie przygotowani, by nic się nie stało, co by było sprzeczne z zasadą: "nic o nas bez nas" . . .

Wspominaliśmy w jednym z ostatnich naszych omówień o przygotowywanych przez Niemców nalotach na wielką Brytanię samolotami stratosferycznymi, przy czym wiele się pisze i wiele mówi /może nawet zadużo/ o nowej, niebezpiecznej broni niemieckiej. Hitler groził, Churchill ostrzegał, ostrzegały i źródła neutralne. Nie chcemy wypowiadać się w tej sprawie, gdyż żadne szczegóły nie są nam znane, zaś przypuszczenia na temat torped powietrznych kierowanych drogą radiową — komentowane były przez całą prasę bez wyjątku. Zaś te komentarze pozbawione były cech autorytetu fachowego.

Z realii skonstatować możemy tylko dwa nowe typy maszyn niemieckich mianowicie szybkie "Messerschmitty 410" oraz nowe "Junkersy 188" wprowadzone do akcji niedawno. To na nich co nocy Niemcy atakują Londyn. Są to maszyny bardzo szybkie i pod tym względem ubiegają się o lepsze z "Mosquito." Udźwig bomb nie duży, lecz w każdym razie wystarczający, przy użyciu ich w większej masie. Wyrażamy przypuszczenie, że jednak w większej masie nie będą mogły być użyte, z racji dużych trudności produkcyjnych. Natomiast należy poważnie wziąć pod uwagę dużą koncentrację "Lufwaffe" we Francji. Jest ona większa niż koncentracja na froncie wschodnim czy włoskim. Wprawdzie nosi charakter defensywny, niemniej przeto dopuszcza myśl, że Wielka Brytania zostanie niebawem zaatakowana na szerszą, niż dotychczas skalę. Ostrzeżenia pod adresem Brytyjczyków premiera Churchilla nie są wcale gołosłowne.

M. J. GORDON

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.X.1943 do 31.X.1943

Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw: 17	Łączna ilość samolotów: 90
pewnych	—	Główne cele: Hannower. Minowanie wód npla. Patrole, walki i ratownictwo.	
prawdopodobnych	—	Tonaż bomb zrzuconych 189,080 lbs.	
uszkodzonych	— 2		

Razem od początku działań do 31.X.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

Zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych	— 606	634	6030
prawdopodobnych	— 163	Tonaż bomb zrzuconych 14,029,651 lbs.	
uszkodzonych	— 209		

Dywizjon w D-twie Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopił 6 i uszkodził 7 okrętów podwodnych.

Fourth Fighting Arm*

II.*

Cztery są zasadnicze zagadnienia, od których rozwiązania w dużej mierze zależy powodzenie bojowej akcji propagandowej:

1/ opracowanie strategiczne ogólnego planu danej akcji propagandowej; 2/ wybór stosownej taktyki; 3/ umiejętność użycia środków i 4/ jakość personelu prowadzącego propagandę.

ZNAJOMOŚĆ WROGA

Planowanie i przygotowanie całości kampanii propagandowej opiera się zarówno na studiach i znajomości terenu nieprzyjaciela, jak i na ścisłym określeniu celu, do osiągnięcia, którego propaganda ma być środkiem. Wiadomo, że potrzebę prowadzenia takich studiów doceniły głównie państwa totalne, które przygotowując się do wojny, jeszcze w czasie pokoju oddały w ręce specjalnych sztabów pracowników studia innych krajów. Demokracje natomiast obecnie gorączkowo, ale gruntownie uzupełniają swe studia znajomość wroga.

Studium pola walki i zaplecza polega na ścisłym określeniu istniejącego stanu rzeczy, a więc na fotograficznym odzwierciedleniu: wytrzymałości duchowej wroga i jego satelitów, różnic dzielących poszczególne narody i grupy w obozie n-pla, ogólnej sytuacji materialnej, podatność w przyjmowaniu innego sposobu rozumowania, stopnia ciekawości skłonności do strachu i paniki, poziomu umysłowego i t.p. Rozważanie oparte na tych wiadomościach, daje przeciętnie wierny obraz terenu, dla którego mają być jasno i niedwuznacznie określone cele propagandowe. Cele i zadania są ściśle podporządkowane wymogom wyższej strategii i taktyki, których propaganda jest tylko wierną służką. Zarys całej kampanii propagandowej, głównie jej intencja, nie powinny być znane ogółowi, a już w żadnym wypadku przedmiotowi propagandy.

TAKTYKA PROPAGANDOWA

Najogólniej stwierdzić można, że taktyka jest dzieckiem badania i pochodną zdolności oraz wiedzy propagandzisty.

Zatrzymując się chwil kilka nad zagadnieniem taktyki, zobaczmy jakie to stwierdzenia natury psychologicznej i znajomość jakich zagadnień poprzedzić musi jej wybór.

Przygotowany propagandzista wie, że naczelnym jego zadaniem jest atakowanie podstawy światopoglądowej /zbudowanej na przesłankach myślowych i uczuciowych/, woli i wiary przeciwnika i że atak ten oprzeć należy przede wszystkim na instynkcie ciekawości, niekiedy na uczuciu bojaźni i strachu. Ciekawość pozwala na wprowadzenie i uwzględnienie nowych, innych czynników w sposobie myślenia i czucia, w ten sposób robiąc wyłom w prostej, niezamąconej linii światopoglądu. Lęk i bojaźń powodują nagłe obniżenie ducha bojowego przez złamanie wiary i paraliż woli.

Pewien zamęt i niepewność w świecie zjawisk jest pierwszym zasadniczym stopniem w przebudowie podstawy światopoglądowej. Przebudowa światopoglądu jest rzeczą trudną i niemal nieosiągalną w odniesieniu do warstw wykształconych umysłowo. Tu raczej chodzić będzie o wywołanie stanu zachwiania wiary i zasianie niepewności, wywołanych nie przez propagandę, ale przez to co prof. Carr nazywa "*scientific exposition*" a Hitler "*wissenschaftliche Belehrung*."

Masy natomiast, które cechuje kapitalny brak pamięci, są podatne i można się pokusić o ich pozyskanie dla nowego światopoglądu. Hitler n.p. odwoływał się tylko do mas, twierdząc, że jedynie one są podatne na działanie propagandy. Ograniczona chłonność, brak pamięci, niechęć do dociekania prawdy i rozumowania pozwala propagandzie na poddanie masom pewnych sloganów, skrótów myślowych i symbolicznych znaków. Oparte najczęściej na pierwiastkach uczuciowych zastępują one we wszystkich okolicznościach życia potrzebę dociekania i zgłębienia prawdy i dostarczają gotowej odpowiedzi, stosownej na wszystkie okoliczności. "... *weil das Schlagwort fertiges Denken liefert, statt eigene Kopfarbeit zu verlangen, darum ist es so notwendig*" /... slogan dlatego jest taki pożądany, że dostarcza gotowej myśli i nie wymaga własnej pracy myślowej/ — woła za Führer'em Dr. W. Hahn.* Takie wnioski wysnuł w odniesieniu do własnego społeczeństwa Hitler i bodaj, że się nie omylił.

Dla ścisłości dodać trzeba, że tylko odrębny i swoisty sposób traktowania społeczeństwa, grupy czy klasy społecznej zapewnia propagandzie powodzenie. Dostosowanie sposobów do umysłowości odbiorcy /przedmiotu propagandy/ — jest zagadnieniem o kapitalnym znaczeniu.

Efekt odwoływania się do instynktu ciekawości w dążeniu do zmiany światopoglądu czy zrobienia w nim wyrwy, zależy w dużym stopniu od idei, których kolportowaniem propaganda również się zajmuje. Idee są zasadniczą amunicją propagandy politycznej i od ich jakości, siły przyciągającej i mocy gatunkowej zależy ich wyższość, przewaga i zwycięstwo nad ideami — amunicją nieprzyjaciela. "Nowemu ładowi" Hitlera musi być przeciwstawiony taki ład /i to przetłumaczony na życie dnia dzisiejszego i jutrzejszego/, za który opłaci się ryzyko walki w krajach okupowanych. "Idee — powiada Kingsley Martin w "*Propaganda Harvest*" — które hitlerowcy czy Anglicy teraz rozpowszechniają, zadecydują o przyszłości po wojnie, bez względu na to, jakie rozstrzygnięcie zapadnie na polu bitwy." Sprzymierzeni dostrzegli już potrzebę przetłumaczenia zasad Karty Atlantyckiej na język codzienny, bo jak słusznie kiedyś MacArthur powiedział, nikt nie zechce walczyć, jeśli nie będzie wiedział o co walczy.

PRAWDA W PROPAGANDZIE

Na dnie mocy działania idei leży prawda, podstawa każdej długodystansowej polityki. Propaganda interpretuje tylko fakty, dodaje komentarz, umiejscawia je w czasie i przestrzeni, przewiduje skutki. Od jakości tej interpretacji zależy efekt, jaki — w ten sposób podana prawda — może wywrzeć w danym środowisku. Jasne, że propaganda dodając swój komentarz może z niekorzystnego faktu zrobić obojętny lub wręcz korzystny. Mamy świeżo w pamięci fakty przegrania bitwy o Stalingrad, utraty Płn. Afryki, czy ustawicznego bombardowania Niemiec — i niemieckie do tych zdarzeń komentarze, które sprawiły, że przecież Niemcy wcale nie myślą o kapitulacji. Komentarz, opis prawdy, faktu i zdarzenia jest dziełem propagandy i od jego jakości zależy wrażenie, jakie sprawi w danym środowisku.

O prawdę w propagandzie toczy się istny bój. Niemiecki gen. V. Ludwig stacza walkę na łamach "*Militär Wochenblatt*" z widmem prawdy w propagandzie brytyjskiej:

"Dzisiejsza propaganda brytyjska w przeciwieństwie do propagandy z poprzedniej wojny jest szczególnie nieudolna, gdyż zbudowana jest wyłącznie na kłamstwie." "Zdumiewającą jest rzeczą, że naród angielski pozwala się tak długo okłamywać." "Jeżeli Anglik chce się zorientować w istotnym położeniu, musi słuchać neutralnych lub nieprzyjacielskich rozgłośni"... Możliwość posługiwania się prawdą w propagandzie państw demokratycznych spędza sen z powiek niemieckim majstrom propagandowym.

STARE ZASADY W PROPAGANDZIE

Zbadanie terenu, zdolność i pomysłowość propagandzisty rozstrzygają w dalszym ciągu zarówno o wyborze odpowiedniego czasu dla zaczęcia i nasilenia akcji propagandowej, jak i o użyciu tych czy innych form taktycznego działania, które przesądzają o powodzeniu lub klęsce danej akcji. W wyborze taktyki propaganda ucieka się do niektórych zasad, posiadających już swe prawo obywatelstwa.

Część z nich jak zaskoczenie, odosobnienie wrogów, poróżnienie ich, bicie w pojedynkę i wytrącenie z wojny, zdobywanie sojuszników w walce, maskowanie istotnych zamierzeń — mają cechy czysto wojskowe i należy stosować je z największą dokładnością. Znamy je zarówno z poprzedniej jak i obecnej wojny.* Inne, jak ustawiczne i niezmordowane powtarzanie haseł i sloganów dla przyzwyczajenia i oswojenia mas z lansowaną myślą, i koncentracja na jednym lub co najwyżej kilku punktach, zdały również swój egzamin w ogniu walki propagandowej.

Atak skierowany na kruszenie woli, podkopywanie wiary i szerzenie paniki opiera się głównie na uczuciach lęku i bojaźni. Propagandę strachu i terroru, niemiecką *Greulpropagande*, stosują przede wszystkim państwa totalne. Ten chwyt taktyczny ma za cel w fazie przygotowującej wojnę obrazowanie terenu przyszłych zniszczeń, w czasie wojny rozgłaszanie aktów terroru, osłabianie chęci dalszej walki i wywołanie paniki. Z tego samego źródła wywodzi początek kolportaż wiadomości o sile, potędze i uzbrojeniu własnych sił zbrojnych w obozie wroga. *Greulpropaganda*, jako jedna z broni taktycznych propagandy dywersyjnej sprzyja wojnie nerwów, której w sukurs przychodzi *Blitzkrieg*.

Demokracje, głównie Wielka Brytania, bronią się przed stosowaniem *Greulpropagandy* nawet dla celów taktycznych. Zasady, na których ma oprzeć się zrąb planowania całości kampanii propagandowej wymagają w ich przekonaniu przede wszystkim części konstruktywnej, dodatniej — część natomiast negatywna, niszcząca jest tym "złem koniecznym," o którym w dżentelmeńskiej grze mówi się mało, a co najwyżej po prostu stosuje.

Obok wysiłku, zdążającego do zrujnowania ducha armii niemieckiej i wyeleminowania Włoch z wojny, obserwowaliśmy w pewnym okresie niemniej usilne starania propagandy aliantów w kolportowaniu zasad Karty Atlantyckiej. Budowa, nie burzenie — jest hasłem demokracji i hasłu temu Brytyjczycy chcą zostać wierni. Stąd to bierze początek ten niekończący się i nie dający wyników spór o dobrych i złych Niemcach, stąd płynie nasz niepokój, czy i jak zostanie załatwione zagadnienie niemieckie na przyszłej konferencji pokojowej.

Wracamy do pierwotnego sformułowania taktyki: trudno określić czy w możliwości i rozpiętości jej stosowania ważniejsza jest wiedza czy sztuka i zręczność propagandowa — na pewno zaś jedno drugie i trzecie.

ŚRODKI NOWE I STARE

Środki, z pomocą których działa propaganda, zastępują niejako sprzęt wojskowy, służący do wyrzucania pocisków. Pociski propagandowe stanowi kolportowana treść /wiadomości o faktach prawdziwych czy fałszywych z opisem, idee i myśli/. Sposoby upostaciowania treści, formę stanowią słowa mówione lub pisane, akcja, symbole i rysunki. Środki propagandowe zapewniają pociskom możność dotarcia na miejsce przeznaczenia. Im więcej tych środków i im więcej są urozmaicone, tym większa szansa lansowania treści propagandowej pod różnymi postaciami i w dowolnym czasie. Środki winny uniezależnić propagandę od czasu, okoliczności i miejsca.

Rozwój prasy, filmu i radia po ostatniej wojnie wywołał istotnie rewolucyjne zmiany w technice propagandy; zapewnił jej mianowicie niezależność od czasu i miejsca, a przez to usprawnił przenikanie daleko poza linię frontu nieprzyjaciela, dał możność zdublowania i potrojenia form, pozwolił na wykorzystanie innych zmysłów, którymi odbiorca może odbierać zewnętrzne wrażenia.* Drukowane słowa w prasie, ruch, kształt i kolor na ekranie, żywe słowo w eterze zlewają się w jedno koryto, w jeden potężny grzmot, w echo odbite w świadomości mas ludzkich.

Propaganda oczywiście nie rezygnuje z niczego, co zapewnia jej powodzenie. Nie wyrzeka się i innych, dawnych środków, jak: ulotek, broszur, karykatury, plakatów i fotografii, które same spełniają główną rolę lub dublują czy potrajają użycie innych środków. Jeżeli n.p. Anglicy tę wojnę rozpoczęli w dniu 3 września 1939 rzucaniem ulotek nad Niemcami, co dla Polaków było oczywistą ironią losu, to nie było to tak dalece pozbawione sensu, jak to się wydawało nam krwawiącym się w nierównej walce. Pamiętać należy, że Brytyjczycy zakończyli ostatnią wojnę rzucaniem ulotek; jako jeden ze środków propagandy odegrały one wtedy zasadniczą rolę i o rozmiarze ich działania mieli bardzo dodatnie zdanie.

Rzucanie ulotek nie daje może tego samego efektu u początku działań wojennych, co w dalszej fazie rozwoju. Ludendorf pisze w swoich wspomnieniach z ostatniej wojny: "Poddaliśmy się działaniu nieprzyjacielskiej propagandy, tak, jak poddaje się królik zahypnotyzowany wzrokiem węża ... Armia była karmiona ulotkami ... Nie mogliśmy przeszkodzić, aby nie zatruwały serc naszych żołnierzy." I w tej wojnie Brytyjczycy nie tylko nie zaniechali używania tego potężnego środka, ale jeszcze go udoskonalili i rozbudowali. 44 ton materiału drukowanego, czyli około 23,000,000 ulotek rzuconych w listopadzie 1942 roku w przeciągu dwu nocy nad Francją, 314,000,000 ulotek wysłanych do Europy w roku 1942 i 70,000,000 w sierpniu 1943 — mówią o rozmiarach użycia ulotek jako jednego ze starych, lecz wypróbowanych środków propagandy.

Nie ma złych środków w propagandzie, są tylko źli lub dobrzy propagandziści, którzy albo umieją albo nie umieją użyć i wykorzystać każdego środka w określonej czasem i miejscem sytuacji.

O WSZYSTKIM ROZSTRZYGA CZŁOWIEK

W ten sposób dochodzimy do ostatecznego stwierdzenia, że ponad wszystkimi elementami propagandy góruje człowiek. Ponieważ propaganda nie jest rzemiosłem, ale sztuką, opartą o wiedzę, jedynie twórcza myśl i biegłość techniczna zdolne są zapewnić jej powodzenie i zasięg oddziaływania. Oddanie propagandy w ręce zawodowców stało się dziś wymogiem czasu. Kto — bez deklamacji — zrozumiał istotny sens wojny toczącej się w świecie duchowym i kto w odpowiednie ręce oddał kierownictwo tej wojny — ten jest silniejszy i wyprzedził innych w wyścigu do zwycięstwa.

Zdaje się, że tę gorzką prawdę, narzuconą wiekowi XX przez wojny totalne, zrozumiały wojujące demokracje, które na konferencję wojskowo-polityczną w Quebec wysłały swych przedstawicieli propagandowych. Brytyjski Minister Informacji Brenden Braken był ekspertem w swym dziale: nie tylko słuchał, ale radził i tworzył, wespół z innymi szukał klucza do przyszłego zwycięstwa.

Tylko ludzie obdarzeni siłą improwizacji i umiejętnością przystosowania się, pomysłowością i wynalazczością, posiadający rutynę i głęboką wiedzę życiową i psychologiczną i łatwość analizy, rozumiejący sens i tempo dzisiejszej wojny ruchowej — są zdolni zapewnić propagandzie powodzenie, właściwy sposób użycia i celowość wysiłku, uczynić z niej w ramach wyższej strategii broń, która wespół z innymi otwierać będzie bramy zwycięstwa. Słusznie ktoś stwierdził, że propaganda w dobrych rękach jest bronią straszliwą, w złych — przekleństwem.

W kręgu tych luźnych myśli nad czwartą walczącą bronią znaleźć musi właściwe miejsce i Polak, którego służba na obczyźnie polega na zdobywaniu wiedzy i doświadczeń oraz stosowaniu ich według nakazów chwili i żądań Kraju. Jeśliśmy propagandy nie dołączyli jeszcze do zwycieskich broni, to po męsku, z konsekwencjami stwierdzić musimy, że na zegarze za pięć dwunasta.

BOLESŁAW ŁASZOWSKI

---

* Por. część pierwszą druk. w nr. 45 "Polski Walczącej" z b.r.

* "*Propagandakriegsführung vom Standtpunkt des Soldaten*" — *Militär Wissenschaftliche Rundschau* — 1942, zesz. 4. — Zresztą i znak "V" produkcji Sprzymierzonych odegra kapitalną rolę w tej wojnie.

* Doskonałą ilustracja tej taktyki są przykłady Austro Węgier w poprzedniej i Włoch w obecnej wojnie. Atak zostaje skierowany na słabszego przeciwnika, którego się odrywa od głównego Sprzymierzeńca, wytrąca z wojny — a jeżeli szczęście posłuży — to i przeciąga na własną stronę.

* Rozmiar użycia radia doskonale uwypukla serwis europejski BBC, który nadaje transmisje dla samej Europy w 24 językach, wypełniając 44 godzin dziennie.

Powrót z niewoli

Obaj są bardzo młodzi i zupełnie do siebie niepodobni. Jeden, jasny blondyn, o obfitych wijących się włosach, drugi trochę starszy, ciemny szatyn o pociągłej, wyrazistej twarzy i trochę smutnych, przenikliwie patrzących oczach.

Na pierwszy rzut oka różnią się od siebie zewnętrznie, ale wprędce wrażenie to znika, stają się do siebie podobni. Te same błękitne mundury lotnicze, te same sierżanckie szewrony na ramionach, no i niestety każdy z nich ma tak samo prawą nogę uciętą wysoko, tuż nad kolanem. Dziwnym a fatalnym zbiegiem okoliczności obaj zostali trafieni podczas lotu w prawe kolano i obu musiano amputować nogi, niemal na tej samej wysokości.

Obaj należą do jednego i tego samego polskiego dywizjonu bombowego, tylko starszy z nich sierż. Władysław Kaźmierczak jest pilotem, a młodszy sierż. Jerzy Olszewski bombardierem. Obaj, choć w różnych terminach wzięli udzia w wyprawach bombowych ponad Niemcy, obaj nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zostali zestrzeleni, obaj wreszcie niedawno przybyli do W. Brytanii na pokładzie okrętu "Empress of Russia" w wyniku wymiany jeńców przeprowadzonej ostatnio między W. Brytanią a Niemcami.

Lotników naszych zastajemy w jednym z pokoi "White Eagle Club" w Londynie, gdzie zamieszkali podczas krótkiego pobytu w stolicy W. Brytanii. Są wyraźnie oszołomieni i zmęczeni ciągłymi wizytami, owacjami, zaprosinami, tym ciągłym a serdecznym zainteresowaniem, jakie im okazują zarówno swoi, jak i obcy. Właśnie przed chwilą pożegnała ich szczupła, smukłonoga Angielka, przybyła, aby ich zaprosić na krótki pobyt do swego zamku. Widok człowieka uzbrojonego w ołówek i papier a więc chcącego przeprowadzić wywiad nie nastraja zbyt różowo, ale są to ludzie, zahartowani, przyzwyczajeni do wszelakich przeciwności losu, więc też po chwili rozgadali się.

Sierżant Jerzy Olszewski ma lat 22 i przed wybuchem wojny wstąpił do szkoły małoletnich lotnictwa. Po kampanii wrześniowej przez Rumunię dotarł do Francji. W Wielkiej Brytanii był już starym, rutynowanym członkiem załogi. Jako bombardier latał szereg razy ponad Niemcy i zrzucał swoje ciężkie, ale cenne ładunki.

—27-go lipca 1942 r. — mówi sierżant Olszewski — polecieliśmy na nocne bombardowanie Hamburga. Nasz "Wellington," jeden z siedemnastu polskich maszyn, jakie brały udział w tej wyprawie, wiózł 4.000 funtów bomb. Drogę do celu mieliśmy trudną, ale szczęście nam sprzyjało i jakoś zdołaliśmy "dostarczyć nasz ładunek na miejsce." Przy odlocie z celu, dostaliśmy się jednak w silny ogień artylerii przeciwlotniczej. Jak się potem okazało, nasz "Wellington" miał 127 dziur od odłamków.

Zadanie operacyjne było skończone i mogliśmy już wracać, ale maszyna ledwie szła, a poza tym benzyny na powrót do domu nie wystarczyło. Skierowaliśmy się więc w stronę Szwecji, aby za wszelką cenę uniknąć lądowania na terenie niemieckim. Zdawało się przez chwilę, że to się uda, ale noc była jasna, księżyc w pełni i w jakieś 20 minut po odlocie z nad Hamburga, dopadł nas niemiecki myśliwiec nocny.

Walka była zajadła, ale krótka. Tylny strzelec naszego "Wellingtona" został śmiertelnie ranny, a ja w pewnej chwili dostałem pocisk armatni w prawe kolano. Pilot nasz widział, że nie ujdziemy myśliwcowi, usiłował więc wymknąć się ostrą piką z wysokości 18.000 stóp. Niestety Niemiec przyczepił się do nas na dobre, i po 10-ciu minutach takiego lotu, musieliśmy siadać na Morzu Północnym, tuż przy brzegach wyspy Sylt.

Cały czas byłem przytomny, pomimo silnego bólu i upływu krwi. Miałem jeszcze tyle siły, że urwałem gumową rurkę tlenową i związałem sobie silnie nogę powyżej miejsca zranienia, aby osłabić upływ krwi. Doktór niemiecki mówił mi potem w szpitalu, że to chyba uratowało mi życie. Inaczej pewnie krew by ze mnie uszła.

Siedliśmy na wodzie, ale to nie był koniec mojej udręki. Znajdowałem się w przedniej wieżyczce, a ponieważ przewody olejowe były pęknięte, nie można jej było odwrócić, byłem więc jak uwięziony. Jakoś wydostałem się wreszcie i wygramoliłem na czub maszyny, jednakże do połowy ciała byłem w słonej morskiej wodzie. Na pół przytomnego zabrali mnie Niemcy do szpitala na wyspie Sylt, gdzie na drugi dzień amputowano mi nogę.

Sierżant Olszewski zamyśla się na chwilę, potem mówi dalej:

—Mniej więcej po trzech tygodniach przyszedłem na tyle do siebie, że zaczęto mnie przesłuchiwać. Niemcy uważali nas za Brytyjczyków i byli niezwykle zdumieni, gdyśmy im oświadczyli, że jesteśmy Polakami. Nie mogli wyjść ze zdumienia i mówili: — "Jak to, wy jesteście Polakami, przecież Polski już nie ma." Odpowiedzieliśmy im, że jest polska armia i jest polskie lotnictwo, i że nieraz jeszcze o nas usłyszą.

Potem zaczęły się badania. I prośbą i groźbą usiłowali wydobyć z nas jakieś informacje. Gdy to nie pomogło, chwycili się starego kawału i oświadczyli, że oni nam sami dokładnie powiedzą, a my im mamy tylko powiedzieć, czy to prawda, czy nie. Ruszyliśmy ramionami. Jak wiecie sami, to pocóż mamy wam przytwierdzać, lub zaprzeczać.

Skonfiskowano nam wszystkie przedmioty osobiste i pamiątki, wreszcie odesłano mnie do szpitala w Staderode, gdzie przebywałem około 7 miesięcy i gdzie operowano mnie po raz drugi. Tym razem operował mnie lekarz angielski, będący podobnie jak ja, w niewoli. Operacja była konieczna, bo przy amputacji nogi przeprowadzonej w szpitalu niemieckim, pozostawiono mi kość na wierzchu. Wreszcie, ostatecznie przewieziono mnie do jednego ze szpitali koło Frankfurtu, gdzie już przebywałem aż do końca.

Byliśmy cały czas traktowani przez Niemców, jako jeńcy brytyjscy. Pozdejmowano nam naszywki z napisami "Poland," ale na tym się ich zainteresowanie nami skończyło. Jedzenie było na ogół kiepskie i niewystarczające. Ratowały nas paczki Brytyjskiego Czerwonego Krzyża.

Współżycie z innymi jeńcami, zwłaszcza z Anglikami było bardzo serdeczne i bliskie. Zżyliśmy się, zaprzyjaźniliśmy się i poznali wzajemnie. Ja osobiście dużo skorzystałem, zwłaszcza pogłębiłem swoją znajomość angielskiego przez ciągłe rozmowy z brytyjskimi towarzyszami niedoli. Ogółem przebyłem w niewoli 15-cie miesięcy.

Wyzwolenie przyszło zupełnie niespodziewanie. Gdzieś, mniej więcej przed dwoma miesiącami, zaczęto przebąkiwać, że ma nastąpić wymiana jeńców. Ale pogłoski te wkrótce ucichły, a zresztą było ich tyle, i tak różnych, że niebardzo wierzyliśmy w tę możliwość. Wreszcie którejś nocy obudzono nas i kazano nam pakować rzeczy.

19-go października przez Rügen wypłynęliśmy na statku szwedzkim do Göteborga, gdzie witał nas i opiekował się nami polski konsul. Z Göteborga statkiem "Empress of Russia" wyruszyliśmy w stronę brzegów brytyjskich. Płynęliśmy trzy dni, nocą idąc ze światłami, przy czym do granicy wód norweskich eskortował nas szwedzki kontrtorpedowiec, a potem kontrtorpedowiec niemiecki, który odprowadził nas aż do Bergen. O ósmej wieczorem wyszliśmy z Bergen, biorąc kierunek wprost na Wielką Brytanię. Rano, Niemiec gdzieś znikł, a wkrótce ukazały się okręty brytyjskie, które przyprowadziły nas bezpiecznie aż do Liverpoolu.



Lotnicy: sierż. Kaźmierczak i sierż. Olszewski, którzy wrócili z niewoli

Sierżant Władysław Kaźmierczak również dorzuca szereg własnych spostrzeżeń i opisuje swoje przeżycia. Pochodzi z tego samego dywizjonu i jest wytrawnym pilotem bombowym. Odbył 28 lotów nad Niemcy i podczas 29-tej wyprawy spotkał go pech — kalectwo i niewola, na szczęście niezbyt długa.

—Było to 25-go listopada ub. roku — rozpoczyna sierżant Kaźmierczak. — Poszliśmy na dzienne bombardowanie Essen. Mieliśmy je bombardować zza chmur, z dużej stosunkowo wysokości. W dziesięć minut po przekroczeniu brzegu holenderskiego, chmury się skończyły i w tym samym momencie dostaliśmy się w silny obstrzał niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Kolejno meldowali członkowie załogi artylerię przeciwlotniczą z lewej i prawej burty samolotu.

W pewnej chwili poczułem silny wstrząs maszyny. Chciałem jakoś wyjść z tego piekła pocisków i położyłem maszynę w głęboki lewy ślizg. Widziałem, że jest coraz gorzej, ale postanowiłem jakoś się z tego wydobyć. Przypikowałem i krzyknąłem: "ognia," aby ostrzelać baterię artylerii niemieckiej.

W tej samej chwili dostałem pocisk w prawe kolano. Byłem ranny. Zdołałem jeszcze jakoś otworzyć drzwi bombowe, żeby pozbyć się bomb, ale byliśmy właśnie nad holenderskim miasteczkiem, więc dopiero w chwilę potem, nad jakimś pustym polem zrzuciliśmy nasz ładunek.

Ostatnim wysiłkiem zawróciłem w kierunku Anglii. Chciałem za wszelką cenę dociągnąć samolot "do domu" i wydawało mi się, że się to uda, bo widziałem już morze. Strzelano jednak do nas ciągle. Po chwili prawy silnik stanął w płomieniach. Pocisnąłem gaśnicę. W chwilę potem niemieckie pociski zapaliły nam lewy silnik. Znów uruchomiłem gaśnicę. Wszystko jednak sprzysięgło się na nas, bo nie minęło parę chwil, gdy zasygnalizowano pożar w kabinie. Poleciłem nawigatorowi, aby wypuścił przedniego strzelca z wieżyczki, po czym postanowiłem lądować. Nie było już innej rady.

Jednakże wskutek uszkodzeń przez pociski, nie można było przerwać dopływu benzyny do silników, to też lądowaliśmy na szybkości koło 300 klm na godzinę. W pewnej chwili zobaczyłem przed sobą drzewa, chciałem je przeskoczyć, ale niewiadomo, czy źle obliczyłem wysokość, czy nie miałem już siły wskutek upływu krwi, aby maszynę poderwać, dość, że poczuliśmy nagle potworny wstrząs i trzask, a gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że cały przód kabiny został zniesiony i mam przed sobą wolną przestrzeń. Wyskoczyłem z samolotu i na rękach i jednej nodze, bo prawa zwisała bezwładnie, przetoczyłem się kilka metrów.

Jak się później dowiedzieliśmy nasz samolot wylądował w pośrodku niemieckiego obozu wojskowego. Zobaczyłem nadbiegających niemieckich żołnierzy z karabinami, ale nie przejęło mnie to zbytnio. Uwagę moją pochłonął całkowicie samolot, który zaczął płonąć. Jak się wszyscy tam powydobywali, naprawdę sam nie wiem.

Niemcy chwycili mnie za ręce i wlokąc po ziemi, odciągnęli poza barak. Dopiero potem poszli gasić maszynę, ale tego już nie widziałem, bo straciłem przytomność.

Przywieziono mnie do szpitala w Amsterdamie dopiero koło 11-tej wieczorem mimo, że lądowaliśmy bardzo blisko tego miasta. Leżałem tam pięć miesięcy. Robiono mi osiem transfuzji krwi, /w tym sześć transfuzji krwi niemieckiej/, a następnie sześć operacji nogi, której nie udało się uratować. Siódma operacja zakończyła się amputacją, którą trzeba było przeprowadzić z powodu gangreny.

Potem odesłali mnie do innego szpitala i wreszcie w Obermassfeld spotkaliśmy się z Olszewskim, kolegą z tego samego dywizjonu. Od tej pory byliśmy już razem.

* * *

Obaj nasi lotnicy mimo ciężkiego kalectwa, nie tracą humoru. Sierżant Kaźmierczak sam skonstruował sobie w niewoli protezę, bardzo dobrą jak na amatorską robotę. Na pierwszy rzut oka, gdy chodzi o lasce z lekka tylko utykając, trudno poznać, że mu nogę powyżej kolana odjęto.

Kiedy wieczorem tego dnia obaj byli obecni na zabawie w "White Eaglu" umieli zdobyć się na humor, spokój i pogodny uśmiech, mimo, że widok tych młodych, zdrowych tańczących ludzi, musiał budzić w nich pewne refleksje. Sierżant Kaźmierczak gdy ktoś z kolegów zaproponował mu kolejkę, uśmiechał się uprzejmie i powiedział:

"Dziękuję, to za dużo, przecież ja mogę pić tylko na jedną nogę."

WITOLD ROŻNIECKI

NA 11 LISTOPADA

Przemówienie Ministra Obrony Narodowej do Kraju

Przemawiam do Was, Rodacy, w ćwierćwiecze wyzwolenia Warszawy i ówczesnego generał gubernatorstwa z jarzma niemieckiej okupacji. Pamiętamy ten dzień, kiedy wróg, porażony trwogą w obliczu klęski i kapitulacji na Zachodzie, wypuszczał broń z bezwładnej dłoni, kiedy buta jego i brutalność w ciągu godzin zmieniły się w strach i pokorę. Kiedy wszyscy Polacy, w okamgnieniu zespoleni jednością decyzji i działania dokonali rozbrojenia dziesiątek tysięcy okupantów.

Dzisiaj, w dwudziestopięciolecie, Polska cała jest w niewoli, tak potwornej, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. Widmo 11 listopada straszy władców Trzeciej Rzeszy i katów narodów. Krzyczą, że dzień taki nie może powrócić, a widzą, że może być bliski. Szalejąc z trwogi, mordują. Mordują zwłaszcza tych, których wystąpienie mogłoby być dla nich najbardziej zabójczym — Polaków.

W obozie zjednoczonych narodów rozważa się, czy nie znaleźliśmy się w tej drugiej wojnie światowej w tym punkcie, w którym byliśmy jesienią 1918 roku. Są dane, że jesteśmy o wiele dalej, że i listopad dawno już za nami, a Niemcy są dziś w groźniejszym, niż wtedy położeniu. Ponieśli klęski, jakich wtedy nie zaznali: grozi im najazd zewsząd, ich straty w ludziach co najmniej dwukrotnie przewyższają straty tamtej wojny, ziemia ich własna, wtedy wojną prawie nie dotknięta, dzisiaj trzęsie się od wybuchów bomb, rozkład moralny ich narodu dawno przybrał rozmiary nieporównanie większe, niż wtedy, z objawami, jakie wtedy nie były do pomyślenia.

Jeśli tym razem nie kapitulują, to dlatego, że zbyt wiele teraz popełniły zbrodni i już nie wierzą w bezkarność, więc trwają w beznadziejnej walce, licząc, że jakiś traf ich wybawi jak za starego Fryca; a nie walą się, bo zbyt silnie jeszcze trzymają żelazne obręcze Gestapo. Ale do czasu tylko mogą one opóźnić runięcie potęgi niemieckiej. A wtedy powrócą dni tamtego listopada sprzed ćwierć wieku, w większej grozie dla wroga.

Wchodzimy w ostatnią fazę wojny. Gotuje się na nią Polska, jako na moment ostatecznego wysiłku. Bo walczyć nie przestała ani na chwilę. Wy, Bracia w Kraju, nie zaniechaliście walki wśród najstraszniejszych przejść, płacąc setkami tysięcy ofiar za niezłomność moralną, opór nieugięty, akcję bojową. Przez Was to jest Polska — jak głosił z dumą generał Sikorski wobec świata — Polską Walczącą, nie zaś tylko nieszczęśliwą ofiarą przemocy. Nasze siły zbrojne na obczyźnie nie stoją tu bezczynnie i nie wybierają się wcale do gotowego wracać. Ci, którzyby tak myśleli, nie godni by byli swego bohaterskiego Kraju.

Marynarka nasza cała jest w ciągłej akcji.

Lotnictwo nasze z pełnią ofiarnego wysiłku uczestniczy w ofensywie powietrznej na fortecę europejską.

Nasze wojska lądowe długo czekają na okazję nowej walki. Ciężko im dolega wyczekiwanie. Śmieszne są zarzuty, by jakakolwiek ich część bić się nie chciała. Nigdy żołnierz polski nie cofał się przed walką z wrogiem swej Ojczyzny, byle broń mu dano do ręki. Tak było zawsze i jest. Z tą różnicą, że zarówno korpus polski w Szkocji, jak armia na Wschodzie, wśród której znajduje się dzisiaj nowy nasz Wódz Naczelny, uzbrojone są dziś tak potężnie, wyszkolone tak długo, wszechstronnie i gruntownie, jak nigdy jeszcze nie było wojsko polskie.

Znam skład tych wojsk. W Armii na Wschodzie amalgamat żołnierzy, którzy przybyli z Rosji, gdzie po ciężkich dwóch latach z zapałem i determinacją podjęli ponownie zbrojną służbę Ojczyźnie, z weteranami kampanii libijskiej. W Wielkiej Brytanii amalgamat żołnierzy z Kraju z zaciągniętymi we Francji, na drugiej półkuli i wszędzie, gdzie są Polacy. Tysiące tych żołnierzy musiało wydzierać się z rąk wroga i niejednokrotnie życiem hazardować, by znaleźć się w bratnich szeregach, przebyło obozy jenieckie, koncentracyjne i więzienia, znaczyło krwią szlaki tułacze. Tysiące mają za sobą odbyte kampanie. Wciąż przybywają tu jeszcze towarzysze broni, których wędrówki i przygody składają się na epopeję polskiej odwagi, wytrwałości i wierności Ojczyźnie.

Po to tu wędrowali, ci turyści Sikorskiego, a dzisiaj Sosnkowskiego, by się bić. Czekają rozkazu. Gdy ruszy wielka ofensywa na kontynent, nie będą bezczynni. Zrobią na pewno co w ludzkiej mocy, by okazać się godni, Żołnierze Armii Krajowej, waszego bohaterstwa, waszego zaufania, waszej bratniej miłości.

Na próżno wróg usiłuje wbić kliny pomiędzy Kraj a nas, którzy służymy Mu na obczyźnie, między Rząd a Wojsko, między poszczególne części sił zbrojnych. Próżno trwożyć Was usiłuje jego propaganda. Wiecie, że zgodnie z rozkazem dziennym nowego Wodza Naczelnego siły zbrojne stoją poza polityką, są posłuszne Prezydentowi Rzpltej i Jej Rządowi. W głębokiej żałobie po stracie Generała Sikorskiego, skupiły się przy jego następcy z największym zaufaniem i żołnierską karnością. Wojsko jest pochłonięte sposobieniem się do niedalekich już działań i wie, że są niedalekie.

O tym pragnąłem Was upewnić, Bracia w Kraju i o tym, że wasi towarzysze broni na obczyźnie czoła przed wami chylą, duszą są z wami, rwą się do chwili, która zjednoczy nas, Polskę Walczącą w Polsce Wyzwolonej.

Nasz sprzymierzeniec Chiny

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Chińscy "junacy," pełniący służbę pomocniczą



Pracownicy oświatowi przydzieleni do armii

7 lipca bieżącego roku wojna chińsko-japońska weszła w siódmy rok trwania, licząc od daty rozpoczęcia japońskiej inwazji, w 1937 r. W rzeczywistości zaczęła się ona daleko wcześniej, gdyż można śmiało powiedzieć, że pierwszym aktem tego dramatu była japońska kampania w Mandżurii w 1931 r. i że obecna wojna jest tylko dalszym ciągiem japońskiego wysiłku zdążającego do zagrabienia tak pożądanej "przestrzeni życiowej" — Chin, i pierwszym krokiem na drodze do urzeczywistnienia boskich przeznaczeń: do opanowania całego świata, stosownie do planu wyrażonego w Memorandum Tanaki.

Z rozpoczęciem się wojny wszechświatowej, front chińsko-japoński stał się częścią frontu wszechświatowego. Pomagając zniweczyć wschodniego sprzymierzeńca "Osi," Chiny odgrywają ważną rolę w całokształcie planów alianckich.

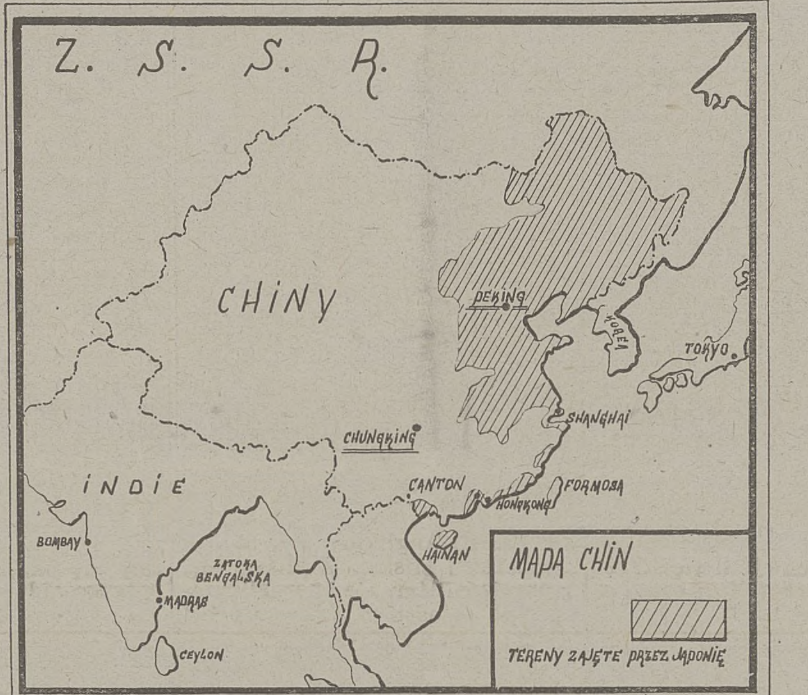
W 1937 r. zarówno przyjaciele, jak i nieprzyjaciele Chin nie doceniali ich siły. Porównanie potęgi wojennej obydwu partnerów na Wschodzie w zakresie organizacji, dyscypliny i ekwipunku armii nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że Japonia wygra tę wojnę "w cuglach." Wydawało się to tak łatwym zadaniem, że japoński Sztab Generalny nie tracił czasu na szczegółowe badanie stojącego przed nim zadania, i rozpoczął działania wojenne w Chinach nie biorąc pod uwagę możliwości istnienia czynników, któreby pozwoliły armii chińskiej powstrzymać najeźdźcę lub w jakimkolwiek stopniu wpłynąć na zmianę jego planów.

Licząc na przeważającą siłę, wspomaganą przez flotę kontrolującą drogi morskie wzdłuż wybrzeży chińskich, Japonia spodziewała się zakończyć wojnę bardzo szybko. Siedzący w Tokio militaryści japońscy nie przewidzieli, że ich armia będzie bezsilna wobec chińskiej taktyki unikania decydujących bitew; zapomnieli oni także w swoich kalkulacjach obliczyć dokładnie koszt w ludziach, pieniądzach i czasie.

Któż zresztą byłby przypuszczał, że straciwszy całkowicie wybrzeże morskie, wraz ze stolicą i całą bogatą i żyzną deltą Jang-tze, Chiny utrzymają się w posiadaniu swoich głównych armii, i że naród chiński będzie kontynuował nierówną walkę ze wzrastającą energią i patriotyzmem.

Bardzo niewielu zdawało sobie sprawę, że nieograniczony obszar Chin może stać się kąskiem zbyt wielkim dla zachłannej Japonii, że dostarczy on armii chińskiej wystarczającej przestrzeni dla ciągłego wycofywania się, wycieńczającego wroga w pogoni za decydującym spotkaniem. Niewielu zdawało sobie również sprawę, że wojna ta przyczyni się do obudzenia się Chin z wiekowej drzemki w komforcie przestarzałej kultury i pobudzi je do wysiłku odrodzenia, ani też że wysiłek ten będzie tak pomyślny.

W szóstą rocznicę rozpoczęcia wojny, Chiny są silniejsze i bardziej przygotowane do stawienia oporu przeciw najeźdźcy, niż były 7 lipca 1937 r. Nie tylko armia ich jest lepiej wyćwiczona i bardziej zahartowana, ale i duch narodu wzmocnił się i scalił. Wojna ta obudziła w Chińczykach poczucie narodowe lepiej, niż zdołałby to zrobić jakikolwiek inny czynnik.



Rzut oka na historię Chin i ich filozofię życiową wykazuje bardzo jasno, że nie były one nigdy narodem żołnierskim i wojennym. Żołnierz był zawsze w tym kraju uważany za należącego do najniższej klasy społeczeństwa, równoznacznej z bandytami. "Sprawiedliwy człowiek nigdy nie będzie żołnierzem" — mówi stare powiedzenie chińskie.

Siłę tego kraju, która pozwoliła mu przetrwać i wyjść zwycięsko ze wszystkich najazdów, stanowił olbrzymi obszar uniemożliwiający efektywne opanowanie narodu, a także głęboko zakorzeniona tradycja i konserwatyzm. Zwycięzca mianował rządców prowincji, burmistrzów, etc., nakładał podatki, ale nigdy nie zdołał zniweczyć biernego oporu w rzeczach dotyczących wiekowych zwyczajów. Wynikiem tego było, że najeźdźcy po pewnym czasie pomału przyjmowali kulturę chińską, żenili się z Chinkami i wkrótce, z wyjątkiem nieznacznych zmian w języku lub obyczajach, nie pozostawało z nich ani śladu. Wsiąkali oni w całokształt chińskiego narodu.

Z wybuchem obecnej wojny przywódcy chińscy mieli przed sobą trudne zadanie: obudzenia ludności z drzemki, przełamania biernej zgody na los, rozpalenia patriotyzmu i obudzenia poczucia narodowego. Dzięki mądremu kierownictwu Generalissima Chiang Kai-Szeka zadanie to stopniowo dokonuje się.

Po raz pierwszy przeciętny obywatel chiński, nie zajmujący stanowiska w rządzie, interesuje się sprawami swego kraju i uczy się kochać swoją ojczystą ziemię. Rzemiosło żołnierskie przestało być przedmiotem pogardy i obrońcy kraju, walczący na froncie, zdobywają sobie wdzięczność i miłość swych współobywateli. Patrząc na młodzież chińską śpiewającą z zapałem patriotyczne pieśni i wykonującą z poświęceniem różne prace w instytucjach lub organizacjach związanych z wysiłkiem wojennym, wierzy się, że po skończeniu tej wojny Chiny będą przygotowane do zajęcia poczesnego z czasem stanowiska w międzynarodowej rodzinie narodów.

To obudzenie się ducha narodowego nie jest jedynym objawem wskazującym, że Chiny są na drodze ku staniu się jednym z przyszłych mocarstw świata. Walcząc, budują one Nowe Chiny. Pomimo trudności spowodowanych wojną, pogłębianie ideałów demokratycznych i rozwijanie się miejscowych samorządów wykazuje ciągły postęp. Ulepszanie oświaty publicznej i odbudowa kraju według nowoczesnego planu zajmują ważne miejsce w wysiłku narodowym.

Na polu wojennym, Chiny zagradzają nadal drogę japońskiemu najeźdźcy, pomimo dotkliwego braku samolotów i różnego rodzaju broni i amunicji. W ciągu ostatniego roku Japonia nie zdołała zrobić żadnego postępu: obecne zwycięstwo armii chińskiej w prowincji Hupeh świadczy wyraźnie, że posiada ona dostateczną siłę ofensywną, jeśli jest wspomagana przez flotę powietrzną. Ze wzrastającą ilością materiałów wojennych płynących do Chin od Aliantów, będą one mogły coraz silniej natężać ofensywę i w ten sposób odciążyć aliancki front na Pacyfiku, umożliwiając Zjednoczonym Narodom zwiększenie ich wysiłku dla zniweczenia "Osi" w Europie.

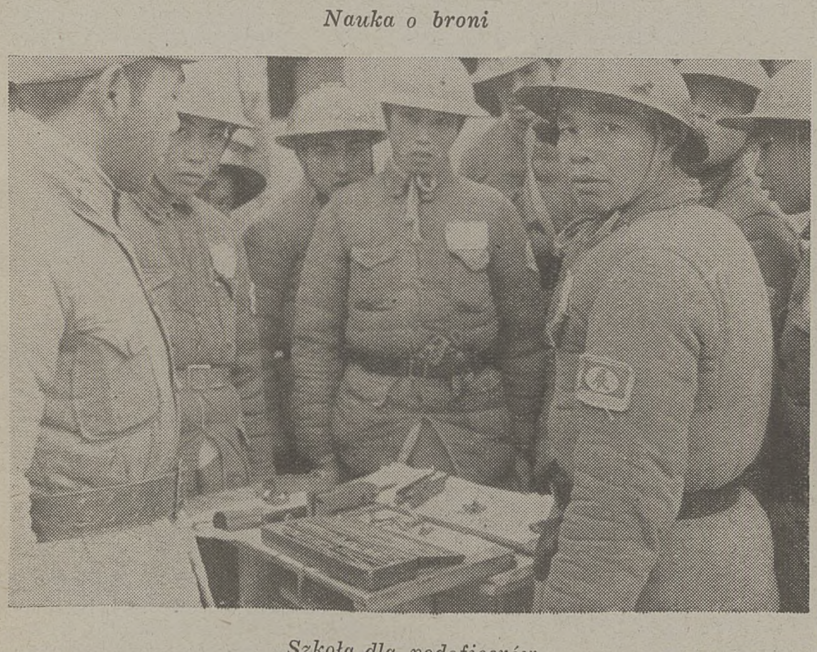
A ten strumień materiałów wojennych płynący do Chin zwiększa się z każdym dniem. Próżny okazał się wysiłek Japonii, żeby izolować Chiny od świata i stopniowo je "zdusić." Po zajęciu chińskiego wybrzeża morskiego większość materiałów szła przez Indochiny. Kiedy Japończycy zajęli Indochiny, droga wiodąca przez Burmę zapewniała potrzebny kontakt. Japończycy zajęli Burmę, a materiały wojenne płyną ciągle do Chin ponad "dachem świata" — majestatycznymi szczytami Himalajów i drogą wiodącą przez około 2000 mil pustynnych odludzi Tybetu.

Niedocenienie Chin, przez Japońskich militarystów okazało się jednym z głównych błędów strategicznych, które przyniosą im w bliskiej przyszłości całkowite zniszczenie ich planu opanowania świata i klęskę.

Czungking, 10 lipca, 1943 r.

MAYA RODZIEWICZ

Nauka o broni



Ćwiczenia w strzelaniu z broni maszynowej



Szkoła dla podoficerów



W drodze na front



Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: W obronie Paryża*

25 *maja.*

—" Zostajemy tu jeszcze — mówi dowódca dywizjonu. — Front teraz może nas obchodzić tylko dorywczo. Głównym naszym zadaniem jest obrona Paryża przed możliwymi atakami. Nie jesteśmy osamotnieni. Jest tu "*terrible concentration de l'aviation de chasse.*" Są nawet Anglicy na "Hurricane'ach" — powiódł wesoło po nas wzrokiem.

Zrozumieliśmy, że ma jakieś dobre wiadomości. Niech by mi ktoś tak rok temu wywróżył, że będę w obronie Paryża. Nie miałbym słów na odpowiedź.

Pod Cambrai straszne walki. W południe mała wyprawa bombowców niemieckich bombarduje lotnisko, kolej i jakąś fabrykę. Fabryka idzie z dymem od razu. Jestem wtedy po dyżurze w kasynie. Wyganiają nas co chwila do piwnicy. Z naszego dywizjonu wystartował tylko jeden samolot. Reszta nieczynna. Dywizjon ma w ogóle tylko kilka samolotów. Zniszczyliśmy przez dwa tygodnie około 60. Czytałem statystykę armii. Dywizjon bije rekord w przerabianiu samolotów na złom.

Po południu czterech poszło na atakowanie celów ziemnych. Nie wróciło dwóch. Z jednego pilot wyskoczył na spadochronie, drugi lądował przymusowo i rozbił maszynę. W godzinę potem jeszcze dwa rozwalone na lotnisku z winy pilotażu. Razem wykończono przez niecałą dobę siedem samolotów, podczas gdy uzupełnienie za kilka dni wyniosło pięć.

Dywizjon jest nieumiejętnie używany i dowodzony. Do niedawna wszyscy piloci, nie będący w alarmie tkwili również na lotnisku. Dowództwo zawsze w jakimś budynku najbardziej się rzucającym w oczy z powietrza. Schronów od czasu, gdy opuściliśmy Cambrai żadnych. Ludzie zaczęli sarkać i wykańczać się nerwowo. Bardzo niechętnie major zmienił miejsce postoju dowództwa na skutek presji i sarkań wszystkich. Nazajutrz po zmianie trzy setki położyły się pięknie przy samym baraku, gdzie było dowództwo. Oczywiście poszły wszystkie szyby, a ściany porobiły się ażurowe od odłamków. Ładniebyśmy wyglądali! Nie ma wątpliwości, że szpiedzy pracują pierwszorzędnie.

Jesteśmy teraz dobrze zamaskowani o trzy kilometry od lotniska. Tam zostają tylko załogi alarmowe w samolotach. Odwalam również ten alarm po kilka godzin dziennie. Niezbyt to przyjemne. Siedzi się przywiązanym w kabinie. Hełm, kombinezon, spadochron i reszta na sobie, a tu upał. Nad głową ciągną masy samolotów. Swoje, czy nieprzyjaciel? Czy zdąży się wystartować, zanim zbombarduje? I jak startować, żeby nie natrafić na lej po bombie. Zasypują je już od trzech dni, ale nie taka to łatwa rzecz zasypać przeszło 400 dołów, gdy niektóre mają po dwa metry i więcej głębokości.

Ciągłe chodzenie pod grozą bomb wywołuje w człowieku stałe napięcie, które nawet za fałszywym alarmem powoduje wstrząsy. Kiedyś w locie duża mucha wpadła mi na zaoliwioną szybę kabiny. Drgnąłem gwałtownie i znany gorący prąd przebiegł przez ciało. Wydało mi się, że ktoś mnie atakuje. Innym razem, gdy szedłem przez lotnisko z Zantarą, ten nagle wrzasnął: — "Panie kapitanie, lecą . . . lecą . . . Uciekajmy." — Rozglądam się. Co? Kto? Gdzie? Nic nie widzę. Zantara rwie, jak na zawodach i pokazuje na las. Patrzę: pięć wron wolno szybuje nad drzewami. Nawet się z niego nie śmiałem, bo rozumiałem dobrze przyczynę tego, ale on był potem na mnie zły za to, że się zdradził ze swoim stanem nerwów.

26 *maja.*

Latałem o świcie z dywizjonem nad Abbeville. Cały dywizjon, pożal się Boże, dziewięć maszyn i to było maksimum, które mogliśmy wystawić. Był ranek jak ze snów dziewiczych albo z książki dla dzieci. Dubreuil na 5.000 metrów stracił przytomność wskutek zepsucia się aparatu tlenowego. Wyłamał się nagle z szyku i poszedł tak raptownie w dół, iż myślałem, że coś atakuje. Na 1.000 metrów odzyskał przytomność i wyrównał maszynę. Ale to go nerwowo wykończyło; miał dosyć zabawy na dzisiaj i poszedł odrazu do lądowania. Ja latałem bez tlenu i czułem się dobrze.

Za Beauvais żegnamy dziewiczość ranka. Wszędzie dymy po bombardowaniu. Idą wysokimi, ciemnymi słupami ponad 2.000 metrów.

Po powrocie spotykam w kasynie Rychlickiego. Wylądował, gdy byliśmy w powietrzu. Jego dywizjon w składzie 7 "Moranów" patrolował nad Cambrai. Napotkali około 50 bombowców niemieckich. Dowódca zaatakował głupio, nie widząc, że w górze osłaniają wyprawę "Messerschmitty." W czasie walki Rychlicki zauważył jednego "Dorniera" i jednego "Morana" w płomieniach. Drugi "Moran" szedł bezwładnie do ziemi z "Messerschmittem" na ogonie. Wystrzelawszy amunicję Rychlicki wraz z jednym Francuzem wracali przez nasze lotnisko i zdecydowali się tu zaopatrzyć w benzynę. Co z resztą nie wiedzą.

Wiadomości o jego kluczu. Kawnik ma oficjalnie stwierdzone zestrzelenie dwóch "Dornierów." Sulerzycki dostał się w walce pomiędzy kilka "Messerschmittów." Posiekli mu samolot, ale im zwiał. Potem go ostrzelała artyleria; sam nie wie własna, czy nieprzyjacielska. Poszedł lotem koszącym i dostał się w ogień czołgów niemieckich. Potem jeszcze raz napotkał "Messerschmitta," ale ten był jakiś dziwny, może postrzelany, jak i on, bo obaj zobaczywszy siebie zaczęli jeden od drugiego uciekać. Oczywiście Sulerzycki nie miał amunicji zupełnie. Gdy przyleciał nad własne lotnisko było tak posiekane po świeżym bombardowaniu, że nie miał gdzie lądować. Poleciał na inne, ale wtedy podwozie widocznie postrzelane nie chciało się otworzyć. Lądował jak hydro.

Cambrai oglądane z powietrza jest całe w gruzach i dymie pożarów. Od kilkunastu dni front przebiega tamtędy i miasto przechodzi z rąk do rąk.

Na kolację wrócił Pissot z Ramorantin, wysłany tam kilka dni temu dla pobrania samolotów. Wrócił bez samolotów — koleją. Ramorantin poszło z dymem. Właśnie wczoraj wieczorem, gdy czekał na uzupełnienie samolotów, przyszła wyprawa. Leżeli jeden na drugim w rowie, bo ludzi było dużo a rów mały. Na Pissocie leżało jakichś dwóch robotników, ale jak powiada, nie miałby nic przeciwko temu, żeby w takim momencie leżało dziesięciu. Było to pierwsze bombardowanie, które przechodził, bo w Persanne Beaumont był nieobecny.

Nie doceniał tego z początku i stał spokojnie obserwując niebo, ale gdy grzmotnęła pierwsza bomba — zobaczył dwutonowy samochód przefruwający nad hangarem. To mu wystarczyło i wtedy pierwszy się znalazł w rowie. Zabitych zostało około dziesięciu robotników i żołnierzy. Żaden samolot nie wystartował. Wszystkie hangary i samoloty spaliły się doszczętnie. Nie uratowano ani jednej maszyny.

Było to do przewidzenia. Przypominam swoją rozmowę z oficerem, gdy tam byłem. — "Tu mamy schrony, tu karabiny maszynowe, a tu czołg." — "*C'est un crime*" — mówię głośno przy stole, tak że słyszą to wszyscy Francuzi i wszyscy wiedzą, że nie mówię o Niemcach. Ale wszyscy znają nastawienie i umysłowość tamtych w tyle, co jeszcze nie zaznali bombardowania, i wszyscy czują to samo co ja. Milczymy.

27 *maja.*

Miasteczko zaludnia się coraz bardziej. Niemcy idą na razie na północ. Francuzi bronią Calais. Gomuliński martwi się, że już dawno nie było słychać o większym bombardowaniu na taką skalę, jaką przeszliśmy przed tygodniem. To może oznaczać ciszę przed burzą. Stworzył sobie teorię, że najlepiej się czuje właśnie po bombardowaniu, bo spodziewa się, że będzie miał parę dni spokojnych. Wierzy święcie w tę teorię i stara się nas wszystkich do niej przekonać. Nie jest ona może najgorsza, ale z drugiej strony ma taki skutek, że gdy nie ma bombardowań, Gomuliński zaczyna tracić apetyt i dobry sen.

Jeździłem do szpitala w Pontoise, gdzie leży plutonowy Kolasiński. Amputowano mu rękę powyżej łokcia. Pocieszałem go, ale słowa brzmiały głupio i fałszywie. Obok w separatce pokazywano nam Francuza, któremu amputowano obie ręce i nogę. Miał przytem twarz okropnie popaloną.

Życie kwitnie ramię w ramię obok śmierci. Słońce świeci wyjątkowo radośnie, drzewa szumią miękko, zmysłowo i ładne siostry miłosierdzia patrzą na nas zdrowych, wygłodzonych seksualnie z zachwytem i pożądaniem tak szczerym i wyraźnym, że jest to ponad wszelką mowę. My także zachowujemy się, jak dzicy ludzie. Każda ładniejsza kobieta wywołuje w nas nie tylko dreszcz pożądania, ale wstrząs. Żyjemy stale i chodzimy nad przepaścią; to odwraca uwagę od uciech. Wystarczy jednak chwilowy pogodny błysk, chwilowa przerwa w nieustannym napięciu nerwów i życie domaga się o swoje prawa dziesięciokrotnie silniej i natarczywiej.

28 *maja.*

Król belgijski złożył broń bez uprzedzenia sojuszników. Dzięki temu Niemcy już wykończyli, albo wykończą lada chwila północną armię. Obawiam się, że będą tam straty równające się klęsce. Front biegnie wzdłuż Sommy do morza. Na północ od tej rzeki wszystko w rękach Niemców.

Dni schodzą w nudzie przeplatanej chwilami silnych napięć. Przyszły gadki, że porucznik Goetel zaginął bez wieści. Vitini w szpitalu ciężko popalony. Włochy bruździą i robią minę, jakby miały wystąpić lada chwila po stronie Niemiec. De Bertrand zaręcza, że dostaniemy wkrótce "Curtisy."

Przed południem ląduje kilka "Moranów" jako uzupełnienie. Przyprowadzili je jacyś obcy piloci. Lecz jeden z tych pilotów, to mój stary, dobry znajomy Czech, major Ambruss. Był przed sześciu laty na stażu w Krakowie i mieszkał u mnie. Na Wielkanoc poszliśmy na narty. Roztoka, Tatrzańska Łomnica, a potem Niżnie Tatry, przełęcz Djumbiru z szatańską wichurą, Demianowskie jaskinie. Mój Boże! Tyle pysznych wspomnień. A dziś? Ani Polski, ani Czech, obaj jesteśmy na obczyźnie wygnańcy z kraju.

Gomuliński chodzi po okolicy i wyszukuje schrony. Mieszkamy we wspaniałym pałacu. Luksus. Mam pokój, jak z bajki. Adamaszkowe obicia biało-złoto-różowe. Ten sam materiał na łóżku, krzesłach, otomanach, z tego samego materiału portiery. Pułap pomalowany na niebo z obłokami. Na tle nieba w locie i w bezruchu zastygły jaskółka, ważka i motyl. Wspaniały, zaciszny park. — "Czemu tu nie rosną pieczarki? — pyta się mnie Gomuliński — Gdybym osobiście był pieczarką, nie chiałbym nigdzie indziej róść, jak tylko tu."

31 *maja.*

Przychodzi nagle wiadomość pewna. Przezbrajamy się na "Curtisy." Radość. Odstawiliśmy po południu z Zantarą "Morany" do Coulommiers. Lało jak z cebra i ledwo znaleźliśmy lotnisko w tym labiryncie dróg. Dużo śladów po bombach, ale leje pozasypywane. Stoi tu jeden dywizjon myśliwski z kluczem Sulerzyckiego.

Dowódca tego dywizjonu był lotnikiem myśliwskim w tamtej wojnie i miał coś zestrzelonego na swoim koncie, więc z tego powodu była to osobistość zarozumiała do wszelkich granic możliwości. Zamęczał dywizjon swoją wyniosłością i sarkazmem. Każdego pilota, który strzelał do nieprzyjaciela, ale go nie zestrzelił, posądzał, że strzelanie było na duży dystans. — "To jest tylko psucie amunicji," — twierdził autorytatywnie.— "Pilot myśliwski nie powinien używać swoich karabinów maszynowych zanim nie wejdzie przeciwnikowi w ogon. Swoim śmigłem powinien prawie dotykać sterów tamtego."

Nareszcie dywizjon się doczekał, że kochany dowódca zetknął się z nieprzyjacielem w powietrzu. Próbował w myśl swojej zasady wchodzić w ogon jakiemu "Junkersowi," ale go wtedy tak posiekli, że cudem uciekł z życiem. Lądował przymusowo i nabił sobie gębę. Teraz spuścił z tonu, do niczego się nie wtrąca i dywizjon ma znośne życie. Błogosławią za to Niemców.

Pierwsze bombardowanie miel. przed południem. Kawnik właśnie był po alarmie i siedział w kasynie, gdy zaczęły się sypać bomby. Kilku popijających "aperitiwy" od razu się przezornie ulotniło, ale został jakiś cywilny jegomość czytający gazetę. Zdawał się nie zwracać zupełnie uwagi na chwilowe zamieszanie i wyludnienie kasyna. To Kawnikowi zaimponowało. Nie mógł znieść tego, by jakiś tam cywil miał być odważniejszy od niego. — "Wyjdę stąd ostatni" — postanowił.

Zaczęło gwizdać i grzmieć nie na żarty. Cywil siedział. Jakaś ciężka bomba wywaliła o kilkaset metrów aż szyby zadzwoniły. Cywil ciągle siedział i ani drgnął. Kawnik siedział, jak urzeczony. Czegoś podobnego jeszcze w swoim życiu nie widział. Teraz pomimo gorącego pragnienia, aby wynieść się stąd czym prędzej, nie mógł tego zrobić. Wstydził się najmniejszego ruchu, któryby pochodził z obawy. Wydało mu się, że tamten toczy z nim milczące zawody, kto dłużej wytrzyma. Wreszcie gwizdnęło tak przeraźliwie, że Kawnik zamknął oczy i pomyślał: — "Teraz już po mnie." Przy ogłuszającym huku dom cały zafalował, zadygotał: miało się wrażenie, że runie. Cywil ani drgnął. Siedział, jak poprzednio z wyrazem lekkiego znudzenia i nie odrywał oczu od gazety. Wreszcie popatrzył w okno tak spokojnie, jak człowiek, którego nic nie dotyczy poza kwestią pogody. Ziewnął w końcu. To Kawnika złamało moralnie zupełnie, dobiło go. — "Jestem tchórz — pomyślał. — Nigdy nie będę takim, choćbym trenował przez sto lat wysiadywanie pod bombami."

Pan odłożył gazetę, wstał i podszedł do Kawnika. — "Czy pan nie wie gdzie są wszyscy kelnerzy?" — zagadnął. — "Uciekli do schronu" — odpowiedział Kawnik. Pan zdawał się nie rozumieć odpowiedzi i pchał tamtemu w ręce notes z ołówkiem. — "Zbili mi dziś aparacik" — chciał koniecznie mieć odpowiedź napisaną. Kawnik był tak oszołomiony, że nie zrozumiał w pierwszej chwili, o co chodzi. Bomba eksplodowała blisko, dom zachwiał się znowu, a pan powiedział: — "Co za dziwna historia! Ten żyrandol tak się chwieje, a przecież ja nie czuję żadnego przeciągu. Czy to może coś naprawiają na strychu? Proszę mi wybaczyć, bo jestem kompletnie głuchy."

Kawnik już nie pamięta co mu odpowiedział. Wie tylko, że rwał z kasyna, jak wiatr i padał po drodze za każdym gwizdem bomby.

Bourges, 2 czerwca.

Z Coulommiers pojechaliśmy samochodem do Paryża. Bawiłem tam dzień. Chodziłem po mieście półprzytomny. Zgroza ogarnia człowieka na myśl, że lada chwila na cudowną Notre Dame, na Madelaine mogą się posypać bomby.

Paryż wyludniony z mężczyzn. Ładne kobiety oglądają się za nami wcale niedwuznacznie. W knajpach puchy. Kelnerzy zwierzają się gorzko: — "Najpierw byli "*étrangers*," potem "*permissionnaires*," a teraz "*rien du tout*."

Z Paryża do Bourges. Ładna mieścina i śliczna katedra. Witraże przezornie z niej wywieziono, a katedra do jednej trzeciej wysokości obłożona workami z piaskiem, jak kołdrą. Znajduje się tu fabryka materiałów wybuchowych, fabryka armat i montownia samolotów tuż przy lotnisku. Lotnisko typu pokojowego było już dwa razy bombardowane, ale w montownię nie trafili. Gomuliński dowiedziawszy się o tych wszystkich źródłach przemysłu wojennego zdejmuje czapkę i patrzy tak w przestrzeń, jakby patrzył śmierci w oczy. Dobija to go tak, że nawet nie ma siły robić jakichkolwiek uwag lub szukać schronów.

Zaczynamy latać na "Curtisach" 1050 H.P. Przypomina mi to czasy, gdy piętnaście lat temu rozpocząłem loty na "Moranie" z Gnome Rhone 80 H.P. Różnica żadna. Gad jest dość miły. Pięknie ląduje i rwie z miejsca niezgorzej.

Do oficerów francuskich przyjechały ich żony. Wszystkie nie tylko, że nie są pięknościami, ale są nawet brzydulki. Wszystkie jednak nadzwyczaj miłe i wyglądają na dobre żony. Patrzę na nich, gdy podczas kolacji tulą się do mężów, pełne krótkiego szczęścia i widzę inny obrazek. Był to ten telefon, gdy jedliśmy obiad i gdy telefonowała żona Bardina, tego gaskończyka o czarnych oczach i kruczych włosach, pełnego zawsze optymizmu, tego Bardina, który już nigdy nie wróci.

4 *czerwca.*

Paryż był dziś bombardowany. Podają straty: 50 zabitych i 180 rannych.

Spotkałem w Bourges Kosińskiego. Ma tu 6 pilotów do obrony fabryki, ale sprawa samej obrony przedstawiała się identycznie, jak u Opulskiego w Ramorantin. Najpierw nie mieli maszyn, bo front zabierał wszystko, a gdy je dostali, były zaledwie trzy spadochrony, tak że nigdy nie można było pójść całością sił w powietrze. Kosiński wtedy powiedział komendantowi bazy, że będzie latał bez spadochronu, bo musi użyć wszystkie. I samolotów, a nie może się zgodzić, by część latała w spadochronach, a część bez. — "To niebezpieczna demonstracja" — zauważył cierpko Francuz. — "To życiowa konieczność" — odpowiedział Kosiński. Po tej rozmowie spadochrony się znalazły.

Jednego Niemca zdążyli już zestrzelić przed naszym przyjściem. Zrobiło to dużą reklamę wśród okolicznej ludności. Wszędzie, gdzie się ukazywaliśmy witano nas więcej, niż serdecznie. Byliśmy stale otoczeni taką ciekawością i zainteresowaniem, jakim się otacza słynnych artystów. Było to dla mnie żenujące, bo nie mogłem się reklamować, że nie należę do obrońców Bourges, a właśnie za takiego mnie brano na każdym kroku. Chcąc nie chcąc, korzystałem z całej tej atmosfery sympatii i przyjaźni, którą klucz Kosińskiego zrobił.

Chodzą pogłoski, że klucz Opulskiego w Ramorantin zestrzelił przez pomyłkę "Poteza" biorąc go za samolot niemiecki. To by dopiero była przykrość.

5 *czerwca.*

Dziś gazety przyniosły dokładniejszy rachunek. Podczas wczorajszego bombardowania Paryża zginęło przeszło 200 osób, a przeszło 400 jest rannych. Zrzucono 1400 bomb.

Dunkierka jest już zdaje się zajęta przez Niemców. Straty Sojuszników w ludziach i materiale ogromne. Niemcy bez wypoczynku zaczynają nową ofensywę przeciwko Francji z nad Sommy. Włochy jeszcze nie wystąpiły, ale zanosi się na to, że zrobią to lada chwila.

6 *czerwca.*

Dowódca lotnictwa francuskiego zdecydował użyć całego lotnictwa przeciwko ofensywie niemieckiej. Odczytano to nam w rozkazie. Naszego dowódcę dyonu zapytano czy może wystawić jeden klucz. Odpowiedział: — "Cały dywizjon. Jesteśmy gotowi." Czysty *bluff*. Piloci nie przerobili walk, nie strzelali. Od dwóch dni pytam się wszystkich, jak się używa celownika, gdyż jest nieco złożony. Nikt nie wie. Ostrzelanie maszyn nie sprawdzone. Jesteśmy zmęczeni. Ganialiśmy po kilka godzin dziennie na "Curtisach." Na miejscu dowódcy dywizjonu powiedziałbym: — "Nie jestem gotowy, ale za dwa lub trzy dni będę gotowy z całością." — To byłaby zdaje się, uczciwa odpowiedź. Ale trudno, jeżeli ktoś z całej siły pracuje na galon i krzyż wojenny, to odpowiedź była celująca.

W wyniku tego startujemy jutro do La Perthe.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. część pierwszą: "1940: Cambrai" druk. w nr. 42, część drugą: "1940: Beauvais" druk. w nr. 43, część trzecią: "1940: Persanne Beaumont" druk. w nr. 45 "Polski Walczącej" z b.r.

Bez blackoutu

Przed kilku dniami komunikat Kwatery Prasowej M.O.N. doniósł:

"W Brytyjskiej Royal Military College w Sandhurst odbyła się w ubiegłą sobotę uroczysta promocja absolwentów kursu O.C.T.U. /Officer Cadets Training Units/ na oficerów. Kurs O.C.T.U. ukończyło m.i. 9 polskich podchorążych, z których jeden, Ryszard Z. został prymusem.

Na uroczystość promocji nowych oficerów brytyjskich przybył gen. A. H. S. Adair, D.S.O., M.C., który odebrał defiladę Szkoły, poczem wręczył 6 najlepszym uczniom pasy oficerskie. Pierwszy otrzymał pas oficerski z rąk gen. Adair Polak, pchor. Ryszard Z., który jest równocześnie pierwszym cudzoziemcem, kończącym szkołę oficerską w Sandhurst jako prymus."

Myślę, że niezależnie od tego komunikatu, należy się jeszcze Ryszardowi Z. kilka ciepłych słów właśnie na łamach tygodnika Polskich Sił Zbrojnych. Piszę "ciepłych" nie w sensie ulubionego polskiego poklepywania po ramieniu, ale szczerych, jak szczery musiał być zapał tego młodego człowieka, który może poszczycić się nielada osiągnięciem.

Nie znam, Pana osobiście /a może jednak znam?/, Panie Ryszardzie — podchorąży prymusie. Przepraszam. Moje plutonowe pióro pręży się na baczność: panie poruczniku Ryszardzie Z., ale sądzę, że uwierzy Pan w szczerość naszego uznania. Kto zna Sandhurst /ja nie znam/, kto wie jak bardzo eksklusywny charakter do niedawna nosiła ta szkoła oficerów brytyjskich, jak niezwykle wysokie są jej fachowe wymagania, ten rzetelnie doceni wysiłek wszystkich 9 polskich podchorążych, a naszego prymusa w szczególności. Jest on pierwszym cudzoziemcem kończącym szkołę oficerską w Sandhurst z pierwszą "lokatą."

Czy wyobrażacie sobie, Mili Czytelnicy, co by z tego zrobili inni, nie pozbawieni "smykałki" propagandowej alianci? Byłyby ze dwie krótkometrażówki, byłaby broszura i audycja radiowa. Wyrażam obawę, że my ograniczymy się do komunikatu, bo jesteśmy nad miarę skromni, jeżeli idzie o prawdziwe wartości kulturalne i propagandowe, a nad miarę dumni w żądaniach uznania dla przeciętności lub zgoła lichoty. Wartość propagandowa faktu, który zdarzył się na terenie szkoły wojskowej w Sandhurst jest wysoka, jest trwała.

Zdobyliśmy na emigracji sporo takich wysokowartościowych pozycji. Ale niestety, albo nie umieliśmy ich wygrać, albo po prostu z wielu ubocznych względów i względzików otaczaliśmy je milczeniem. Sądzę, że do kategorii tego typu osiągnięć trzeba zaliczyć wysiłek wynalazców t.zw. popularnie "elektroluxa" przeciw-minowego, czy "Polish mine-detector"; prace owego arcyskromnego polskiego fotografa-lotnika /odznaczonego zresztą najwyższymi orderami brytyjskimi/, który w pojedynkę, na nieuzbrojonym samolocie wykonał w czasie tej wojny kilkadziesiąt bezcennych zdjęć, decydujących w dużej mierze o podjęciu i powodzeniu wielkich operacyj lotniczych; cichą, poniekąd poufną, a jednak — jak wiemy bardzo owocną — robotę inżynierów i techników polskich współpracujących w przemyśle wojennym z Brytyjczykami; poważną i doskonale zapowiadającą się na przyszłość polsko-brytyjską współpracę naukową. Są to osiągnięcia dokonane jakby na marginesie wojny, ale przez umiejscowienie ich przebiegu w środowisku brytyjskim, nabierają one dla Polski specjalnego znaczenia.

Drogi Panie Ryszardzie. Wyobrażam sobie, ile pracy włożył Pan w samą tylko naukę języka angielskiego, ile pokus, oporów i trudności musiał Pan przełamać, by przy tak poważnej konkurencji brytyjskich i polskich kolegów dojść do mety jako pierwszy w obcym środowisku w historycznie elitarnej szkole. W trudnej sytuacji, jaką wytworzył obecny, miejmy nadzieję, przejściowy stan rzeczy, tego typu indywidualne osiągnięcie Polaka staje się szczególnie cenne. Stwarza to na tym terenie z a u f a n i e do polskich możliwości na przyszłość. Zaufanie? Jakimi nas widzą, takimi nas piszą. A raczej: tak o nas piszą.

Skoro mówimy o pracy i nauce, skoro czujemy się w obowiązku okazania wdzięczności ludziom, którzy dbają o dobre imię polskiej wiedzy i kultury na ziemi brytyjskiej, zapytajmy szczerze, jak czasem, w pewnych wypadkach ta sprawa nauki i dokształcania w istocie wygląda? Odpowiedzmy szczerze: wyniki rozmaitych kursów takich czy innych, krótszych czy dłuższych udowodniły jaskrawo, że osiągnięcia indywidualne są przeważnie sprawą uczciwości danej jednostki, że jednak — sorry, very sorry — Polacy na różnych kursach okazują często ogromne lenistwo i lekceważenie wziętych na siebie obowiązków.

Iluż to rzeczy przykrych, nie do uwierzenia, nasłuchałem się w Cambridge o niektórych żołnierzach polskich odkomenderowanych na różne, ciekawe, czasem roczne studia, którzy rzadko, albo i wcale nie zjawiali się na wykładach, marnowali czas i gonili za rozrywkami. Brytyjczycy na ogół nie uznają stosowania rygorystycznej dyscypliny w nauce, opierają system studiów na dobrej wierze, tak że często pewne kursa nie kończą się żadnymi, specjalnymi egzaminami, a tylko kandydaci po wysłuchaniu /lub po niewysłuchaniu/ przewidzianych programem wykładów otrzymują zaświadczenia ukończenia kursu. Polak nie czując rygoru, żelaznej dyscypliny połączonej z odmową udzielenia "nomen," z zagrożeniem wykluczenia lub możliwością niewydania końcowego zaświadczenia, zaczyna po prostu lekceważyć brytyjską organizację kursów i próżnuje.

Jest to nieuczciwość. W naszych warunkach jest to nieuczciwość wobec siebie samego, wobec władz, udzielających urlopu i tych ludzi, którzy z funduszów państwowych łożą na wcale przyzwoitę zasiłki i zaopatrzenie kandydatów. Mój kolega z Cambridge, zresztą stary, bezstronny, prawnik biadał w szczególności nad opinią, którą urabia sobie wtedy każdy zainteresowany tą sprawą Brytyjczyk. Profesor czy organizator brytyjski z początku tego w ogóle nie rozumie, po tym dziwi się, wreszcie w opanowany sposób, kryjąc wewnętrzne oburzenie, przestaje Polaka traktować poważnie. Przeciwnie zaś, upewniwszy się, że kandydat chce pracować i okazuje zainteresowanie nauką, Brytyjczyk czyni najdalej idące ułatwienia, poświęca bez ograniczeń swój czas, a niejednokrotnie sam interweniuje u władz polskich w sprawie przedłużenia studiów danemu kandydatowi. Memu rozmówcy z Cambridge powierzono bardzo ważną pracę dla prawodawstwa brytyjskiego po półtorarocznym okresie studiów, w czasie których wykazał się zainteresowaniem prawdziwego naukowca i przeciętnie dobrem opanowaniem języka angielskiego.

Różnie przedstawiały się również sprawy niektórych kursów, organizowanych na terenie Edynburga. Niedawno opowiadano sobie głośno wśród Szkotów o pewnym kursie zorganizowanym dla Polaków, podczas którego "tutor" brytyjski /Szkot, opiekun grupy polskiej/ nie mógł w żaden sposób do końca trwania kursu odnaleźć powierzonych jego pieczy "studentów." Złośliwi twierdzili, że zaryzykował nawet wycieczkę do "Palais de dance" i "Balmoralu" aż ostatecznie spotkał się ze wszystkimi swymi pupilami w uroczystej chwili rozdania świadectw, po które zgłosili się gremialnie dla chwały kultury i nauki polskiej.

Czasem również dużą krzywdę idei polsko-brytyjskiej współpracy naukowej wyrządzają starzy znajomi pp. "Szimel" i "Biurokratkiewicz" /parokrotnie już wzmiankowani na tych łamach/. Ostatnio np. w Edynburgu cała grupa specjalnie zaproszonych brytyjskich profesorów prawa i ekonomii przez dłuższy czas oczekiwała przybycia pełnej liczby kandydatów żołnierzy polskich, których władze wojskowe zgłosiły na kurs, a których — jak się należy domyślać — ktoś gdzieś "przetrzymał" w terenie, prawdopodobnie w oczekiwaniu na papierki. Brytyjczycy mają wysokie poczucie humoru, więc gdy zamiast zgłoszonych 30 osób przybywają 4 osoby, pada pytanie: — "Jak panowie dokonali tego cudu"? Lub: — "How did you succeed to escape to Edinburgh?" Niewątpliwie takie wypadki ośmieszają nas w brytyjskich sferach naukowych, obniżając wartość innych naszych osiągnięć na polu nauki.

Postąpiłbym nieuczciwie, gdybym wyraźnie nie zaznaczył, że zarówno w Cambridge, jak w Liverpoolu i Edynburgu spotykałem wielu młodych i starszych żołnierzy polskich, odkomenderowanych na studia, pełnych zapału, wytrwale zapracowanych i dobrze zasługujących się sprawie polskiej na tutejszym terenie. Wśród nich są na pewno przyszłe prymusy medycyny, techniki, i prawa wyższych uczelni brytyjskich, jest wielu Ryszardów o lwim sercu i pasji naukowej. Tym wszystkim staropolskim obyczajem życzymy w ich pracy: "Szczęść Boże."

Leniuchom zaś i nieuczciwym kłusownikom "naukowym," którzy polując na łatwe życie mają zamiar komuś w przyszłości legitymować się "świadectwem ukończenia" nie powiemy nic, odeślemy ich jedynie do wierszyka z polskiej prasy podziemnej p.t. "Najmłodsi," ogłoszonego w ostatnim doskonałym numerze "Poradnika Świetlicowego Polskiej Y.M.C.A.," poświęconym książce polskiej.

"Przy lampce karbidowej, lub
świeczce z choinki
Jakże słodko jest wkuwać wiedzę
zakazaną.
Jak smakuje kartofel z
przymarzniętej rynki
Jak inaczej się wstaje w ciemne,
zimne rano . . .
. . . W rękawach naszych
ubrań łatami upstrzonych
Dynamit gazetkowy przenosimy
skrycie.
I, w marzeniach conocnych,
jeszcze niewyśnionych,
Za wielkością tęsknimy,
jak ongiś rodzice."

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

ULICA POLSKI W PIETERMARITZBURGU — STOLICY NATALU

Szanowny Panie Redaktorze,

Sekretarz Prezydenta m. Pietermaritzburga powiadomił mnie, że Rada Miejska uchwaliła nazwać jedną z ulic Pietermaritzburga ulicą Polski, "Poland Street" — na pamiątkę pobytu Wojska Polskiego w tym mieście.

Mieszkańcy miasta Pietermaritzburga serdecznie gościli żołnierzy polskich, którzy rok temu zostali tam zatrzymani w przejeździe ze Środkowego Wschodu do Anglii. W obozie w Pietermaritzburgu stała była 8. Dyw. Piech. przez dwanaście tygodni.

Żołnierze zrozumieli, że na tym obcym terenie, gdzie po raz pierwszy w historii stanęło Wojsko Polskie, muszą się tak zachować i tak pracować, aby pobyt ich pozostawił jak najlepsze wspomnienia o Polsce i jej Wojsku. Zaczęła się żmudna praca propagandowa, której nawet trudności językowe nie mogły przeszkodzić.

Piękne pieśni żołnierskie rozbrzmiewały po ulicach miasta Pietermaritzburga, a piękne i skoczne melodie polskie, bez obcych naleciałości, płynęły z estrad podczas licznych koncertów, biorąc za serca ten muzykalny naród i zapoznając go z bogactwem i pięknem naszych melodii. W oparciu o polską kulturę, o polskie zwyczaje i obyczaje, o polskie przepisy i regulaminy, żołnierze reprezentowali z godnością swój Kraj. Za te uczciwą pracę, za zrozumienie zadań i za wypełnienie ich do ostatka spotkała ich dzisiaj zasłużona nagroda.

Aleksander Idzik

LIST Z AFRYKI ZACHODNIEJ

Szanowny Panie Redaktorze,

*Przesyłam Panu drugi list jaki dostałam od dr. Stanisława Falkowskiego. Myślę, że list ten zainteresuje czytelników Pańskiego pisma, w każdym razie tych, którzy znają historię artykułu o Stasiu z Warszawy.**

Halina Gaszyńska

Strasznie się ucieszyłem, otrzymawszy list od Pani, szedł bardzo długo, 10 tygodni, ale doszedł. To najważniejsze. Już przed tym wiedziałem, że list mój Pani dostała, gdyż jakieś 2 tygodnie temu otrzymałem numer "Polski Walczącej" z wyjątkiem mego listu do Pani. Byłem tym szalenie zaskoczony, że ustosunkowała się Pani tak mile do mnie. Proszę mi wierzyć, że to bardzo człowieka chwyta za serce i zobowiązuje. My, nie mamy tutaj nigdy do czynienia z czymś, do czego można zastosować słowo serdeczność.

Byłem na krótkich ćwiczeniach przed kilku dniami. Okropny ruch w buszu—kilka motocykli i jakiś *Bren-carriers*—oznajmił mi przyjazd kilku moich przyjaciół-Polaków, którzy śpieszyli się ze mną podzielić wiadomością o moim liście w "Polsce Walczącej." Miałem szaloną tremę przed ich wyrokiem, ale zrobili mi dużą przyjemność, raczej solidaryzując się z tym, co do Pani pisałem. Spotkał mnie prawdziwy komplement, bo orzekli, że pierwszy raz ktoś bez bujdy pisał o Afryce Zachodniej. Oczywiście skończyło się to zniszczeniem dwóch butelek whisky.

Pisze Pani, żebym coś napisał, toż ja w życiu swoim pióra w ręku nie trzymałem i poza kilkoma artykułami moimi, ogłoszonymi w Polsce przed wojną w fachowej prasie lekarskiej, nie miałem nic od czynienia z dziennikarstwem. Dziennikarze to strasznie niebezpieczny rodzaj ludzi i zawsze przed nimi miałem dużo respektu. Żeby jednak wypróbować z jednej strony, w jakim stopniu zapomniałem języka polskiego, z drugiej, żeby dać upust mojemu gadulstwu, przesyłam w tym liście taki sobie mały artykulik. Proszę go przejrzeć, poprawić błędy ortograficzne, interpunkcję, i zużyć, jak Pani będzie sądziła najsłuszniej. Nasunęły mi się te uwagi w Harmathanie, podczas jednego z moich ćwiczeń i epidemii *C.S.F. Cerebro Spinal Fever* — zapalenia epidemicznego opon mózgowo-rdzeniowych. Widziałem rzeczy bardzo smutne podczas epidemii — setki wspaniałych fizycznie murzynów, którzy umierali jak świeca zdmuchnięta silnym podmuchem. Ale zwyciężyliśmy epidemię! Ja byłem sam jedną z ofiar i spędziłem w szpitalu 20 dni. Wytrzymałem, bo miałem bardzo wielką wolę wyzdrowienia, poza tym na szczęście miałem raczej poronną postać *C.S.F.*

Oto mniej więcej wszystko. Pracuję dużo, jak zwykle i jak zawsze mam wiele zadowolenia z tej pracy. Gromadzę wszystkie doświadczenia skrzętnie, bo mogą się przydać. Któż to wie, gdzie i kiedy.

Tak bardzo chciałem przyjechać do Anglii, ale niestety prawdopodobnie nie uda mi się to. Urlop, jeśli w ogóle dostanę go w tym roku, będę musiał spędzić w Afryce Południowej.

Cieszę się tak bardzo, że Panią odnalazłem, że mój list nie zniknął *into the blue*. Za propozycję przesłania adresów jestem bardzo wdzięczny. Może wreszcie ktoś do mnie napisze. Dostałem dwa numery "Polski Walczącej" i bardzo za nie dziękuję, prześlę im zaraz za prenumeratę, gdyż pieniędzy mamy dostatecznie dużo, aby sobie niczego specjalnie nie odmawiać, a oni może potrzebują. Kompletu "Polski Walczącej" od p. P. jeszcze nie otrzymałem, ale proszę jej podziękować serdecznie i przeprosić, że nie robię tego osobiście.

Tak Pani serdecznie do mnie napisała, ja naprawdę nie wiem jak Pani za to dziękować. Czuję się szczęśliwy i zażenowany jednocześnie. Przecież Pani już tak dużo zrobiła odpisując na mój list, przesyłając tyle ciekawych nowin co do moich znajomych, z którymi los mnie, mam nadzieję, chwilowo tylko rozdzielił. To ja jestem Pani dłużnikiem. Nie wiem, jak i kiedy będę ten dług mógł spłacić. Teraz proszę tylko o jedną uprzejmość: proszę przyjąć ode mnie coś, co jest typowym wyrobem tej kolonii, w której jestem—zrobiony rękami czarnych Hansytów *writting pad*, jak oni to nazywają. Ma Pani masę listów i różnych papierzysków, to też to może choć w części ułatwi ich uporządkowanie. Jednocześnie z tym listem wysyłam paczkę. Mam nadzieję, że dojdzie, choć niestety wiele z nich do różnych osób wysłanych, wylądowało pod fałszywym adresem, na dnie Atlantyku.

Kończę już, przesyłam bardzo wiele serdecznych słów i myśli. Aha, skoro też jest Pani w Edynburgu niech się Pani skontaktuje z czarującą angielką panią Marguaret Washington, która prowadziła angielską kantynę dla nas w Coëtquidan i obecnie prowadzi bodajże coś w rodzaju "Domu Żołnierza" w Edynburgu. Jestem z nią w stałej korespondencji, jest wielką przyjaciółką Polaków i zrobiła dla nich bardzo wiele.

Jeszcze raz wiele serdeczności,

szczerze oddany

S. Falkowski.

A oto moja pisanina dla Pani i Czytelników "Polski Walczącej":

HARMATHAN

Przychodzi nagle, niespodziewanie, obłokiem szaro-czerwonym przysłaniając słońce. Busz pochyla się. Kładzie się nieomal. Maszty palm wyginają się, jak cięciwy łuku, zwijając wstydliwie pióropusze liści. Widać nieuchronnie, że za kilka sekund ściana szaro-czerwonego pyłu uderzy w nas z furią tornada.

Zrodzona w piaskach Sahary, masa drobnego pyłu, uderza w konwój silną gorącą falą. Przez chwilę nic nie widać. Kurz palący i ostry, jak opiłki żelaza, wciska się w oczy, uszy, do ust. Przy każdym oddechu czuje się go w gardle, dusi w płucach. Brwi, rzęsy, włosy stają się w sekundzie rdzawe. Murzyni mają nagle czerwony tatuaż na twarzach, obrzmiałe powieki, zaczerwienione oczy. Sanitarki są pokryte kilkomilimetrową warstwą pyłu, stają się niewidoczne na drodze, są jakimś dziwnym arcydziełem kamuflażu. Drobny szaro-czerwony pył jest wszędzie i stoi w powietrzu gorącym, nieruchomym oparem. Wypełnia wnętrze ambulansu, włazi do koszów z lekarstwami, przenika bandaże.

Staramy się wydostać z tego oparu, motory pracują gorączkowo, zachłystując się nerwowym kaszlem. Wolno posuwamy się po piaszczystym podłożu. Harmathan dmie bez przerwy, ogranicza nasze ruchy. Droga bez cienia, monotonna, długa. Po obu stronach kuse, kosmate krzaki, żółte od słońca i szarawe od pyłu. Gdzieniegdzie czarne łyse plamy — busz wypalony przez jasnoskórych Fulani.

Po ośmiu godzinach konwój dojeżdża do garnizonu. Myśli wszystkich czarnych i białych krążą z monotonną uporczywością dokoła jednego słowa—woda. Czysta, być może chłodna, woda, nie brązowa i nie pachnąca chlorem. Woda, która przyniesie ze sobą nową energię i moc wytrwania.

Groźna, gorąca, styczniowa noc okrywa sobą rząd białych okrągłych glinianych domków, krytych jakby polską strzechą. Jest pozornie cicho i spokojnie. Przed domem lekarza dyżurnego pali się leniwym płomykiem lampa naftowa. Na macie przed drzwiami śpi czarny niestrudzony boy. Wewnątrz okrągłość ścian, biel moskitiery i dziwny kontur polowego łóżka. Poprzez lekkość i falistość siatki widać sylwetkę w tropikalnej koszuli, szortach, a ciężko podkutych butych. Nie śpi.

Nie może spać, bo ciemno-niebieskie niebo przyciąga wzrok. Bo to samo niebo okrywa swoją wklęsłością i Polskę. Nie można zatrzymać masy myśli cisnących się uporczywie, natrętnych i tak zniewalająco przyjemnych. Stan półświadomości wypełniają bez reszty wspomnienia.

Brutalnie w tej ciszy rozlegają się szybkie kroki, zmierzające nieomylnie do domu z lampą. Czarny wysoki kapral melduje nagły przypadek.

W okrągłym baraku, w blasku latarki, na kocu rozpostartym na ziemi, czarna naga postać. Muskularne nogi o bezbłędnej linii, dziwnie skurczone w kolanach. Duże, bezbronne oczy wlepione nieruchomo w nieuchwytny punkt w przestrzeni. Głowa stężała z resztą ciała, nieruchomo, jakby przekornie lekko przegięta ku tyłowi. Sztywny kark. Suche, popękane do krwi, mięsiste wargi. Rozpalone ciało. Nieprzytomny.

Diagnoza łatwa, złowróżbna, wymowna — zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Za parę godzin, może trochę później, będzie więcej tych przypadków. Wszyscy, którzy tu śpią, rudawi jeszcze od szaro-czerwonego pyłu, noszą w sobie piętno harmathanu. Harmathan dokonał swego dzieła. Chce zbierać łup zachłannie, dziesiątkami, bez reszty. Do nas—lekarzy należy walka. Bez karabinu, bez hełmu, bez pancerza. Z otwartą przyłbicą podejmujemy zdradzieckie, obłokiem gorącym szaro-czerwonego pyłu, rzucone wyzwanie.

West Africa. 1943.

S. Falkowski, R.Am., 4th West African Field Ambulance, West African Force.

* Por. wspomnienie Haliny Gaszyńskiej: "Jeden z Warszawy" druk. w nr. 35 "Polski Walczącej" z ub.r. oraz pierwszy list Stanisława Falkowskiego druk. w nr. 3 z b.r.

BOŻE NARODZENIE DLA JUNAKÓW

Szanowny Panie Redaktorze,

Z "Polski Walczącej" dowiedziałam się o przyjeździe Junaków do Wielkiej Brytanii. Ja i moja przyjaciółka chciałybyśmy nawiązać kontakt z dwoma chłopcami, jako chrzestne Matki. Ponieważ nie wiemy dokąd i do kogo się zwrócić prosimy Pana Redaktora o łaskawe informacje.

Boże Narodzenie się zbliża i chciałybyśmy adres dostać jak najprędzej, by móc im coś przesłać. Obie prosimy o przydzielenie nam najmłodszych jacy tam są, no i naturalnie najwięcej potrzebujących.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Maria Płoszajska

Dear Sir,*

I am enclosing a subscription of 1 guinea from the Children of Beaufort Hill School, Beaufort, Mon., to which I am adding a small contribution from myself. Will you be kind enough to forward this money to the Fund for "Parcels from the Heart"? What a delightful and expressive phrase. This money certainly comes from the heart, with the sincere wish that it will bring a little hope and cheer to some Polish Prisoner of War.

Perhaps you will be interested to know the origin of this subscription from this small school. I am deeply interested in all our Allies, particularly Poland. Why? I shall never forget the pride, humiliation and sorrow with which I listened to the news of the war in Poland, September, 1939. — Pride that you fought with such courage, humiliation and sorrow that we were not in a position to give immediate and material help. Deeply moved by this gallant resistance, I became very conscious of this lamentable lack of knowledge of the history, culture and people of Poland. I knew well, of course, the works of Chopin. When I had to give up all active war work in 1941, I offered the hospitality of our home to the Allies and I have in this way had a wonderful opportunity of meeting and knowing many of our Allies, and I hope in some way atoned for my shortcomings. We have had many Polish guests, some of whom look upon our home as their "Home from Home." If this has in any way lightened their burdens, then we are very happy.

Last February I arranged a series of lectures on Polish History, which were given by a Polish Army Officer. I had several public meetings, and also included some schools, amongst them, Beaufort Hill School, but when I arrived I found the children much younger than I had anticipated. Imagine, therefore, my surprise when after the lecture I was handed a subscription for £2.2.0 for the Polish Red Cross. This money was sent to be used for Polish Children in the Middle East.

On 1st November, I arranged another series of lectures, this time by a Polish Air Force Officer, who spoke of his experiences in and escape from German Prison Camps.

** List otrzymany za pośrednictwem redakcji "Skrzydeł."*

Dla jeńców: "paczki od serca" £1,102

Bearing in mind the generosity of the small children of Beaufort Hill School, I felt this story would be of great interest. I only gave a few days' notice to the headmaster, as I did not want him to feel I was seeking a contribution. They listened with enraptured interest and were most enthusiastic in their acclamations. And again to our surprise the speaker was presented with a subscription for 1 guinea—a really wonderful effort!

I remain,

Yours truly,

Evelyn Tallis

* * *

Załączam money order na £22.0.0 /słownie dwadzieścia dwa £/ z przeznaczeniem na polskich jeńców wojennych w Niemczech.

Kwotę powyższą zebraliśmy z okazji koncertu "Lwowskiej Fali" w dniu Święta Niepodległości dn. 11 listopada 1943 r. w Peebles w Szkocji. Koncert odbył się z inicjatywy Klubu ofic. W.S.Woj. i W.S.Lotn.

W. Kużaj

* * *

Przesyłam kwotę £6 /sześć funtów/ dla Jeńców Polskich w Niemczech.

Lizbona 26.10.1943.

R.E.S.W.

W dniu imienin kapitana Witolda Jacewicza zamiast prezentu — sh.25 na jeńców w niewoli niemieckiej składają panie:

W.P., A.Sz., A.B.-L., W.W. i I.R.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę mojego ukochanego brata ś.p. Bajda Aleksandra, który zginął śmiercią tragiczną 24.VIII. b.r. w Warszawie, przesyłam postal order na sumę £1 dla polskich jeńców w Niemczech.

Stefania S.

* * *

W załączeniu przesyłam 2 British Postal Order — ofiarowane na jeńców polskich w Niemczech: 1/ na 2 szyl. od s'kpt. let. St. J., 2/ na 5 szyl. od kapr. K. S.

Adiutant W. S. Lotniczej
Adam O. Kpt. obs.

* * *

P.T. Redakcjo,

W załączeniu posyłam "Postal Order" na 12 szyl. na paczkę dla żołnierza w niewoli niemieckiej o ile możliwe dla leśnika.

M.B.

* * *

£2 /dwa funty/ na "paczki od serca" składa.

Karol Maresch

W dowód wdzięczności za staranie i sumienne wyszkolenie 6-tej drużyny przez drużynową Wójcik Krystynę zamiast kwiatów składają na paczki dla jeńców wojennych—sh.12 ochotniczki 6-tej drużyny IX kursu unitarnego P.S.W.K.

p.o. Komendantka Obozu PSWK.
R.J. st. przodown.

* * *

W załączeniu przesyłam 4 /cztery/ przekazy pieniężne /Postal Orders/ na ogólną sumę £3 sh.11 d.0½ za Nr. 603,425, 604426, 603427 i 455554/0. Kwotę tą uzyskaną z zabawy żołnierskiej, urządzonej przez pluton w dniu 28 września b.r. przekazuję na fundusz pomocy Jeńcom Polskim w Niemczech.

Dowódca plutonu
M. por.

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Dla uczczenia Święta Niepodległości przesyłam: 1/ załącznie postal order na £1 /jeden funt ang./ na fundusz pomocy jeńcom wojennym, 2/ oddzielną pocztą: paczkę książek i broszur do użycia według uznania redakcji.

Z poważaniem

Kpt. J.J. Sz.

W czasie otwarcia wystawy propagandowej p.t. "Poland before September 1939" zorganizowanej przez... Kompanię Saperów w P. suma dobrowolnych składek na jeńców polskich przebywających w obozach niemieckich wynosiła kwotę £14 sh.14.

Przekazując powyższą sumę proszę o spowodowanie wysłania przez P.C.K. paczek papierosowych jeńcom Saperom przebywającym w obozach niemieckich wedle załączonego wykazu zaś za pozostałą sumę odpowiedniej ilości paczek jeńcom z innych formacji wedle załączonych kart na paczki.

w/z Oficer Oświatowy
Jan B. pchr.

* * *

W podzięce Bogu za opiekę nad bliskimi w Kraju przesyłam w załączeniu £5 na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

M.L. ppłk.

* * *

Przekazuję £1 na fundusz "Paczek od serca" przesłany na moje ręce przez p. W. Michalika, P/64 w intencji dopomożenia akcji na rzecz naszych jeńców.

Aleksander Janta

* * *

Zamiast kwiatów na grób ś.p. Eugeniusza Woźnickiego z O.R.P. "Orkan" załączam sh. 10 na paczkę dla jeńca w obozie niemieckim.

W.J.

* * *

Proszę uprzejmie o przyjęcie dla jeńców "paczki od serca" sh.10, które postal orderem przesyłam. Kilka dni temu wysłałem co miałem dla Polaków na Bliskim Wschodzie, t.j. 2 tomy miesięcznika "Nowa Polska" i 2 zeszyty "Co słychać."

Zosiński

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £67.17.6½ /słownie sześćdziesiąt siedem funtów, siedemnaście szylingów, sześć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,102.4.4. /słownie tysiąc sto dwa funty, cztery szylingi i cztery pensy/ i 50 milrejsów.

Dla Polaków w Rosji: £10,113

Zebraną kwotę £9.7.0 wśród żołnierzy . . . Pułku Przeciwpancernego proszę przekazać na pomoc dla Dzieci z Rosji i Jeńcom w Niemczech, po połowie.

Oficer Oświatowy Pułku
ppor. S.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam "Money Order" na £7.0.8 /słownie: siedem funtów i osiem pensów/ na "Fundusz Ratowania Dzieci w Polsce" zebrane z inicjatywy dzieci polskich na obchodzie dnia "11 listopada" w Domu Żołnierza Polskiego w Edynburgu.

Z poważaniem

Kierowniczka Szkoły Powszechnej
A. Łąska

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam money order na jeden £ jako wygrany zakład awansowy od kpt. M. na Polaków w Rosji.

J.K. kpt. dypl.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam na pomoc Polakom w Rosji z ramienia p. Strumieńskiego sh.10.

Łączę wyrazy szacunku

podp. F.G.

* * *

Przesyłam w załączeniu "Postal Order" na sh.20 /dwadzieścia szylingów/ na Pomoc dla Polaków w Rosji, zamiast podarunku imieninowego dla mego męża Stanisława.

Z.S.

Na pomoc Polakom w Rosji bezimiennie sh.2.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £14.6.2 /słownie czternaście funtów, sześć szylingów i dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,113.0.11 /słownie dziesięć tysięcy sto trzynaście funtów i jedenaście pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Zegar czasu dość szybko
Dni i noce odmierza:

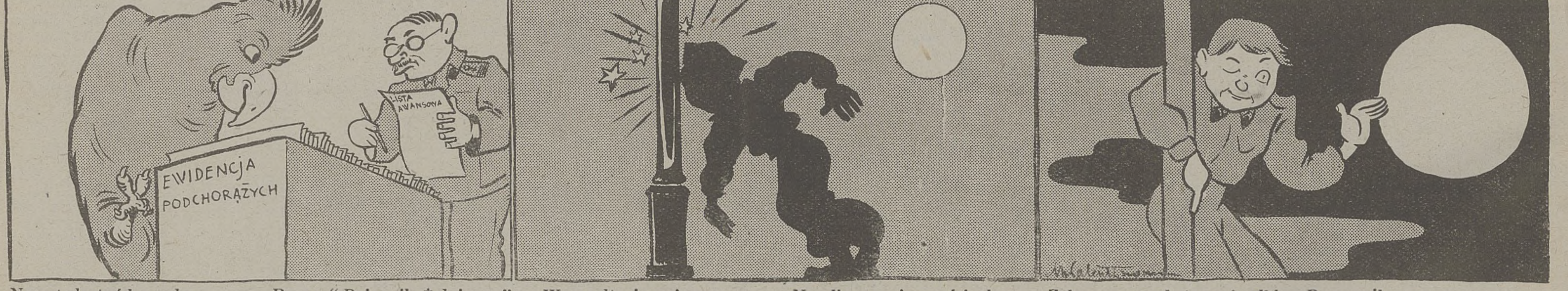
Tysiąc wydał numerów
Szkocki "Dziennik Żołnierza."

Jubileusz z tej racji
Nie ominął Walusia,

Na poddaszu, w redakcji,
Coś tam niecoś pić musiał . . .

Przemówienia też słyszał,
Zasadnicze, ogniste

I miał tremę, bo rękę
Sam mu podał minister.



Nawet dostać kaprala
Pompka w tłoku miał szanse,

Bo na "Dziennik Żołnierza"
Spadły liczne awanse . . .

W rezultacie, wieczorem,
Waluś czuł się dość marnie,

Na ulicy, w ciemnościach,
Wyrżnął głową w latarnię.

Zobaczywszy dwie gwiazdki
Westchnął: jestem spokojny!

Porucznika na pewno
Dali mi na czas wojny . . .

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505' i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Inż. WALTER JAN, P/65, poszukuje: ŁOMNICKIEGO JANA, ur. 1895, lub jego syna ZYGMUNTA, ur. 1926 z Wilejki Pow. wyewakuowanych z Rosji na Bliski Wschód.

* * *

Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o ANTONIM i ANIELI ŁĘCZNAROWICZ oraz o ich dwu synach — ZBIGNIEWIE i JERZYM, proszeni są o nadsyłanie ich do Amn. P.W. pod kpt. U.K.

Pisma na Śr. Wschodzie i w Indiach proszone są o przedruk.

* * *

SULISZ JÓZEFA /urodzona 12.II.1922, Ropczyce p. Dębica/ ewakuowana z Rosji do Teheranu — proszona jest o zwrócenie się pisemne do swego wuja p. Jana Piekło w Stanach Zjednoczonych /adres: John Piekło, 513 Cabot Way, Pittsburgh /3/, Pa., U.S.A./

P. Piekło poszukuje również swej siostry — WERONIKI BERNACKIEJ ze Lwowa.

* * *

P. Eugeniusz Kazimierz GODLEWSKI proszony jest o podanie swego adresu do Redakcji "Polski Walczącej."